

Betty Neels

Dziedziczka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miasteczko Pont Magna, wciśnięte w jedną z dolin Mendip Hills, przeżywało prawdziwie zimową pogodę. Mżawka, marznący deszcz, dokuczliwy wiatr i ostry mróz zamieniły wszystkie drogi i ścieżki w niebezpieczne ślizgawki, więc młoda dziewczyna idąca w kierunku centrum musiała ostrożnie stawiać każdy krok.

Miała ładną twarz i bujne włosy, wystające spod wełnianej czapki. Jej wspaniałą figurę krył stary, tweedowy płaszcz. Wysokie, ocieplane kalosze z pewnością nadawały się na tę pogodę, ale nie dodawały jej uroku. Zbliżając się do zakrętu drogi, usłyszała wyjeżdżający zza niego samochód. Podniosła głowę, potknęła się, straciła równowagę i upadła na pobocze.

Samochód zwolnił, a potem zatrzymał się. Kierowca wysiadł, podszedł do dziewczyny i pomógł jej wstać.

- Powinna pani patrzeć pod nogi - rzekł łagodnie.

- Patrzyłam pod nogi - naciągnęła głębiej czapkę - ale przestraszyłam się, bo pan wyjechał tak niespodziewanie...

- Czy mogę panią podwieźć?

- Przecież jedzie pan w przeciwnym kierunku - odparła chłodno, wyczuwając w jego głosie rozbawienie. - Czy mieszka pan w tej okolicy?

- Ja... owszem.

Czekała na dalszy ciąg, ale mężczyzna nie miał widocznie nic więcej do powiedzenia.

- Ale dziękuję, że pan się zatrzymał. Do widzenia.

Gdy nadal milczał, spojrzała na niego i stwierdziła, że się uśmiecha. Był bardzo przystojny. Miał kształtny nos, wyraźnie zarysowane usta i bardzo niebieskie oczy. Ich wyraz wydał jej się lekko niepokojący.

- Przepraszam, jeśli zachowałam się nieuprzejmie. Byłam zaskoczona.

- Tak samo jak ja.

Jego odpowiedź była niewinna, ale ona odniosła wrażenie, że miał na myśli coś innego. Ruszyła w kierunku miasteczka, a gdy dotarła do zakrętu, obejrzała się przez ramię. Nieznajomy nadał stał w miejscu, uważnie ją obserwując.

Pont Magna nie było wielkim miasteczkiem: błonia, o wiele za duży kościół, główna ulica, na której mieściły się sklepy i urząd pocztowy, ładne domki i kilkanaście sporych budynków, między innymi plebania i rezydencja kapitana Morrisa. Był to zaciszny zakątek spokojnej krainy graniczącej od południa z Wells, a od północy z Bath i Frome.

W okolicy królowały farmy i rozległe pola. Ponieważ miejscowość leżała z dala od głównych dróg, rzadko zaglądali do niej turyści, a o tej porze roku było zupełnie pusto. Toczyło się tu jednak normalne, przyjemne życie. Najważniejszym miejscem towarzyskich spotkań był sklep pani Pike.

Stojące z koszykami w rękach kobiety słuchały właśnie opowieści właścicielki, siwej, korpulentnej niewiasty o małych, bystrych oczkach.

- Nagle mu się pogorszyło - mówiła z przejęciem. - No cóż, wszyscy wiedzieliśmy, że prędzej czy później będzie musiał przejść na emeryturę, a jego miejsce zajmie nowy lekarz. Widziałam go, kiedy wpadł, żeby obejrzeć przychodnię. Jest bardzo przystojny. Będzie miał mnóstwo pacjentek! A jaki ma piękny samochód! - Urwała i z uśmiechem dumy spojrzała na swe słuchaczki. - Ja też bym go nie poznała, gdybym nie wracała akurat z Wells i nie wstąpiła po te pigułki, które przepisał mi doktor Fleming. Chyba szybko przejmie praktykę, bo doktor Fleming poczuł się nagle bardzo źle i wylądował w szpitalu.

Zebrane w sklepie klientki komentowały tę interesującą wiadomość, dokonując równocześnie zakupów. Gdy w końcu ostatnia z nich wyszła, pani Pike zaczęła ustawiać na półkach

puszki z fasolą i paczki herbatników. Od tego nudnego zajęcia oderwało ją skrzypnięcie otwieranych drzwi.

- Ach, to panna Leonora! Przyszła pani piechotą w tę fatalną pogodę? Trzeba było zadzwonić, Jim dostarczyłby wszystko.

Leonora zdjęła czapkę, spod której wysunęła się natychmiast kaskada falujących włosów.

- Dzień dobry, pani Pike. Mama poprosiła mnie o zrobienie zakupów, a ja szukałam pretekstu do wyjścia z domu.

Nic dziwnego, pomyślała pani Pike. Biedna dziewczyna siedzi w tym wielkim, ponurym domu z matką i ojcem, a ten jej kawaler rzadko tu zagląda. Przecież w tym wieku powinna korzystać z życia, chodzić na tańce...

- Proszę mi dać listę zakupów, to zaraz wszystko przygotuję - powiedziała serdecznym tonem. - I proszę poczęstować się jabłkiem. Miejmy nadzieję, że ta pogoda się zmieni i będziemy mogli częściej wychodzić z domów. Czy ten pani znajomy, pan Beamish, przyjedzie na weekend?

- Chyba nie, bo drogi są w fatalnym stanie. - Dziewczyna dotknęła błyszczącego na jej palcu pierścionka z małym brylantem i przez chwilę wyglądała na przygnębioną. - Myślę, że wiosną warunki się poprawią...

, - Czy właśnie na wiosnę zamierzacie się pobrać? - spytała pani Pike, podnosząc wzrok znad krojonego właśnie sera.

Leonora uśmiechnęła się lekko. Pani Pike uchodziła za największą plotkarkę w miasteczku, ale nie była osobą złośliwą i nigdy nie przekręcała faktów.

- Jeszcze nie podjęliśmy decyzji - odparła wymijająco.

- Bardzo lubię śluby, które odbywają się podczas Wielkanocy - oznajmiła pani Pike. - Pobraliśmy się z moim mężem w świąteczny poniedziałek. Mieliśmy piękną pogodę.

Byliśmy wtedy biedni jak myszy kościelne, ale to nie miało znaczenia.

To miałyby znaczenie dla Tony'ego, pomyślała Leonora. Jej narzeczony pracował w londyńskim City, zarabiał sporo i zamierzał zarabiać jeszcze więcej. Ona sama dorastała w starym, zaniedbanym domu wśród cennych, ale zniszczonych mebli i musiała od niepamiętnych czasów liczyć się z każdym groszem.

Światopogląd Tony'ego wydawał jej się rozsądny, ale niekiedy trochę irytujący. Podczas rzadkich wizyt, jakie składał w jej domu, nie rozstawał się ze swą teczką i telefonem komórkowym. Od czasu do czasu łagodnie protestowała, ale narzeczony tłumaczył jej, że musi nieustannie śledzić światowe rynki.

- Będę kiedyś milionerem, albo nawet multimilionerem - mówił. - Powinnaś mi być wdzięczna, kochanie. Pomyśl tylko o tych cudownych strojach, jakie będziesz mogła sobie wtedy kupić.

Zerknąwszy teraz na swą starą, tweedową spódnicę i kalosze, uświadomiła sobie, że jej sposób ubierania się musiał irytować Tony'ego. Zastanawiała się czasem, co on w niej widzi, dlaczego kocha ją na tyle, by zaproponować jej małżeństwo. Może moim magnesem jest nasze stare, rodowe nazwisko, pomyślała z ironią. Poza tym mamy jeszcze ten dom i trochę ziemi, z którą ojciec za nic w świecie nie chce się rozstać.

Myśl ta obudziła w niej niepokój, ale szybko uznała ją za absurdalną. Tony naprawdę ją kochał. Nosila otrzymane od niego pierścienie. Wkrótce się pobiorą i zamieszkają pod wspólnym dachem. Szczegóły nie zostały jeszcze ustalone, ale miała nadzieję, że nie będzie musiała mieszkać w Londynie. Tony miał tam apartament, którego jeszcze nie widziała, ale zapewniał ją, że po ślubie natychmiast go sprzeda lub zamieni

na większy. Obiecywał też, że kiedy zostaną małżeństwem, przywróci jej rodzinnemu domowi dawną świetność.

Kiedy mówiła, że jej ojciec może sobie tego nie życzyć, tłumaczył cierpliwie, że będzie już wtedy członkiem rodziny, więc sir William Crosby z pewnością pozwoli mu zadbać o utrzymanie domu i ziemi w odpowiednim stanie.

- Bądź co bądź - dodawał - będzie to kiedyś dom naszego syna, wnuka twoich rodziców.

Nigdy nie wspomniała o tym ani ojcu, ani matce, ale była wzruszona tym, że Tony gotów jest wydać swoje pieniądze na odnowienie jej rodzinnego gniazda.

- Ten łosoś ma być różowy czy czerwony? - spytała pani Pike, przerywając tok jej myśli.

- Och, różowy. Po prostu rybne paluszki.

- Są bardzo smaczne - stwierdziła pani Pike, kiwając głową z aprobatą. Doskonale zdawała sobie sprawę z trudnego położenia państwa Crosby. Nigdy nie mieli dużo pieniędzy, a sir William stracił niemal wszystko, co mu zostało po przodkach, w wyniku jakiegoś krachu giełdowego. Współczuła im serdecznie i była zadowolona, że młody człowiek starający się o rękę Leonory jest podobno bardzo bogaty.

Włożyła zakupy do plastikowej torby, a potem obserwowała Leonorę poruszającą się ostrożnie po oblodzonej uliczce. Doszła do wniosku, że dziewczyna wygląda w tym stroju jak włóczęga i tylko jej twarz łagodzi to wrażenie.

Leonora weszła do domu przez jedno z bocznych wejść. Najstarsza część rezydencji zbudowana była w stylu króla Jerzego i miała imponującą fasadę z wielką bramą wejściową i ogromnymi oknami. Kolejne pokolenia właścicieli, pragnąc powiększyć przestrzeń mieszkalną, dobudowały do niej liczne aneksy o różnych rozmiarach i kształtach, toteż można było się do niej dostać z wszystkich stron. Drzwi, przez które

weszła Leonora, prowadziły do ciemnego i wilgotnego korytarza wiodącego do ogromnej kuchni. Stał w niej wielki stół, przy którym mogło zasiąść kilkanaście osób, oraz szafy i kredensy wzdłuż ścian. Przy piecu drzemał duży pies, który na widok Leonory wstał, otrzepał się i podszedł, by ją powitać.

Pogłaskała go i obiecała mu, że kiedy rzeźnik przywiezie mięso, z pewnością znajdzie się dla niego smaczna kość.

- A kiedy zrobi się cieplej, wybierzemy się na prawdziwy spacer - dodała. Stary labrador nie miał już wiele sił, więc w taką pogodę wypuszczano go tylko na krótko do parku na tyłach domu.

Przez drzwi umieszczone w przeciwległej ścianie kuchni weszła niska, korpulentna kobieta, niosąca na rękach okazałego kota. Leonora uśmiechnęła się do niej serdecznie. .

- Na dworze jest strasznie zimno, nianiu. Wezmę Wilkinsa na małą przechadzkę do ogrodu. - Zerknęła na ścienny zegar. - Zaraz po powrocie zajmę się obiadem.

Niania kiwnęła głową. Miała pomarszczoną twarz i różowe policzki, a jej siwe włosy zawiązane były w schludny kok.

- Postawiłam na piecu dzbanek z kawą - powiedziała z miłym uśmiechem. - Kiedy panienka wróci, będzie gorąca.

Wilkins nie był zachwycony pogodą, ale posłusznie poczłapał za swą panią do niewielkiego parku, ozdobionego nielicznymi kępami drzew. Dotarli aż do strumienia płynącego wzdłuż jego granicy, a potem z ulgą zawrócili w stronę domu.

Rezydencja wyglądała od tej strony jak zbiorowisko nierównych dachów i niedopasowanych do siebie okien, ale z pewnością miała pewien wdzięk. Liczne pokoje były pozamykane naглуcho i od dawna stały puste. Leonora uważała, że jeśli nie patrzy się z bliska na pęknięcia muru i złuszczoną farbę, jej rodzinny dom wygląda imponująco.

Kochała każdą szparę w ścianie, każdy rozbity kafelek, każdą wilgotną plamę i każdą trzeszczącą deskę.

Kiedy wrócili do kuchni, starannie wytarła Wilkinsa ręcznikiem. Gdy pies położył się z powrotem obok pieca, zdjęła płaszcz i kalosze, włożyła znoszone pantofle i przystąpiła do przygotowania obiadu. Zupa wrzała już na ogniu. Oprócz niej zamierzała podać suflet z sera, oraz ser i herbatniki.

Niosąc do jadalni wielką tacę z porcelaną i sztucami, musiała przejść przez długi korytarz. Zadrzała z zimna. Od dawna namawiała rodziców, by zaczęli jadać posiłki w kuchni, ale oni nie chcieli o tym słyszeć, mimo że w jadalni panował taki sam chłód jak na korytarzu.

- Nie wolno nam obniżać poziomu życia - oznajmił ojciec. Kiedy zasiedli przy elegancko nakrytym stole, przyniesiona z kuchni zupa zdążyła już lekko ostygnąć. Potem przyszła pora na suflet. Leonora przebiegła przez korytarz, zwolniła w progu jadalni i delikatnie postawiła półmisek przed matką.

- Pyszne - stwierdziła lady Crosby. - Ty naprawdę wspaniale gotujesz, kochanie.

Westchnęła lekko, przypominając sobie czasy, w których potrawy przyrządzał kucharz, a do stołu podawał lokaj. Na szczęście Leonora potrafiła doskonale zorganizować prace domowe, dzięki czemu życie toczyło się bez zakłóceń.

Lady Crosby, czarująca i życzliwa kobieta, której udawało się unikać pracy, gdyż zawsze potrafiła znaleźć kogoś, kto wykonywał ją za nią, była przekonana, że Tony jest odpowiednim kandydatem na męża dla jej córki. Ten miły młody człowiek wspomniał już kiedyś, że po ich ślubie zatrudni gospodynię.

Zerknęła na córkę i zmarszczyła brwi.

- Czy naprawdę musisz chodzić w tej spódnicy i w tym swetrze, kochanie? - spytała z dezaprobatą.

- Mamo, przy tej pogodzie nie warto się stroić. Poza tym obiecałam niani, że pomogę jej wysprzątać spiżarnię.

- Dlaczego nie może zająć się tym ta kobieta, która przychodzi z miasteczka? - spytał jej ojciec.

Leonora nie chciała mu mówić, że pani Pinch nie pracuje już u nich od ponad miesiąca. Jej pensja, choć niewysoka, była poważnym obciążeniem dla domowego budżetu. Kiedy więc pan Pinch złamał rękę, a jego żona musiała poświęcić mu więcej uwagi, Leonora doszła do wniosku, że pracując trochę ciężiej, może oszczędzić kilka funtów tygodniowo.

- Drogi tato, muszę co jakiś czas sama przejrzeć nasze kuchenne zapasy - wyjaśniła z uśmiechem.

- Tylko nie zapomnij włożyć rękawiczek, kochanie - poprosiła matka. - Pamiętaj, że wieczorem idziemy na kolację do państwa Willoughby, więc twoje ręce muszą wyglądać nieskazitelnie.

Państwo Willoughby mieszkali na skraju miasteczka w małym domku w stylu króla Jerzego. Ponieważ mieli mnóstwo pieniędzy, zarówno dom, jak i piękny ogród były znakomicie utrzymane. Leonora bardzo lubiła ich odwiedzać.

Kiedy skończyła porządki w spiżarni, zaparzyła herbatę i zaniósła ją do salonu. Nawet w ponury, zimowy dzień wyglądał on zachwycająco. Leonora lubiła jego wielkie okna, kasetonowy sufit i ogromny kominek, który bynajmniej nie zapewniał ciepła. Stare meble były perfekcyjnie wypolerowane, a ich zniszczona tapicerka starannie zacerowana.

Pani domu układała pasjansa, a jej mąż siedział przy stojącym pod oknem stole i był zajęty pisaniem. Leonora postawiła tacę na stoliku obok fotela matki i podeszła do kominka, by dołożyć kilka nowych bierwion.

- Uważam, że powinniśmy niedługo wydać jakieś skromne przyjęcie - oznajmiła lady Crosby. - Mogłabyś zająć się ułożeniem spisu potraw, kochanie.

- Ile osób zamierzasz zaprosić, mamó? - spytała Leonora, zastanawiając się, skąd wezmą na to pieniądze.

Chyba będziemy musieli zastawić rodzinne srebra, pomyślała z gorzką ironią. Albo może po prostu podam gościom duży placek.

- Myślałam o ośmiu. Nie, musimy mieć przy stole parzystą liczbę, więc możemy zaprosić siedem lub dziewięć osób. - Wypiła łyk herbaty. - Co zamierzasz na siebie dziś włożyć?

- Och, tę niebieską suknię...

- Doskonały pomysł, kochanie, to bardzo twarzowy kolor. Ta niebieska sukienka zawsze mi się podobała.

Mnie też, pomyślała Leonora. Już wtedy, przed kilku laty, kiedy miałam ją na sobie po raz pierwszy.

Ale kiedy nadszedł wieczór, doszła do wniosku, że jej nie znosi. Suknia doskonale podkreślała jej zgrabną figurę, ale była już niemodna. Zawiesiła na szyi złoty łańcuszek, który dostała na dwudzieste pierwsze urodziny, wsunęła na palec pierścioneł od Tony'ego i sceptycznie spojrzała na swe odbicie w lustrze. Potem włożyła aksamitny płaszcz, także pamiętający lepsze czasy, i zeszła na dół, by przyłączyć się do rodziców. Sir William niecierpliwie przechadzał się po holu.

- Twoja matka nie ma poczucia czasu - oznajmił z wyrzutem w głosie. - Idź na górę i poproś ją, żeby się pospieszyła.

Lady Crosby biegała po pokoju, szukając torebki, specjalnej chusteczki, kolczyków... Leonora znalazła torebkę i chusteczkę matki, a potem zwróciła jej uwagę, że ma już kolczyki w uszach. Następnie sprowadziła ją do holu i

otworzyła drzwi wejściowe, za którymi czaił się chłodny, zimowy wieczór.

Samochód, stary daimler, którego sir William za żadne skarby nie chciał sprzedać, choć jego utrzymanie kosztowało go majątek, stał przed bramą. Leonora otworzyła matce przednie drzwi i usiadła z tyłu. Podczas krótkiej podróży starała się wymyślić stosowne tematy do rozmów, jakie miała prowadzić przy kolacji. Wiedziała, że będzie znała wszystkich gości, ale wolała się przygotować do konwersacji.

Państwo Willoughby powitali ich bardzo serdecznie, jako że obie rodziny były od dawna zaprzyjaźnione. Kiedy wchodzili do salonu, Leonora rozejrzała się uważnie, a potem zaczęła wymieniać uśmiechy i pozdrowienia. Pastor i jego żona, stary pułkownik Howes z córką, mieszkańcy sąsiedniego miasteczka, państwo Meredith, których posiadłość przylegała do ziem jej ojca, doktor Fleming i jego żona... Obok nich stał mężczyzna, który był świadkiem jej niefortunnego upadku.

- Nie poznałaś jeszcze naszego nowego lekarza, prawda, kochanie? - spytała pani Willoughby i zanim Leonora zdążyła odpowiedzieć, dodała: - To jest pan James Galbraith, a to Leonora Crosby, która mieszka w Dużym Domu.

- Bardzo mi miło - rzekła Leonora, wyciągając rękę. Starła się, by jej ton wyrażał uprzejme zainteresowanie, a zarazem podkreślał dystans.

Jego dłoń była duża, chłodna i silna. Leonora uniosła wzrok i przyjrzała mu się uważnie. Musiała przyznać, że jest niezwykle przystojny; miał nieco senne, niebieskie oczy, jasne włosy, kształtny nos i dość wąskie usta. Był również bardzo wysoki, co wydało jej się pociągające, gdyż często patrzyła z góry na mężczyzn mierzących mniej niż metr siedemdziesiąt pięć. Teraz, by spojrzeć mu w oczy, musiała unieść głowę.

- Metr dziewięćdziesiąt? - spytała się w myślach, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos.

Państwo Fleming nie słyszeli jej pytania, bo właśnie w tym momencie odwrócili się do kogoś innego.

- Dziewięćdziesiąt trzy - odparł doktor Galbraith. - Czy jest pani bardzo obolała?

- Nie sędę, żebym musiała panu odpowiadać na to pytanie - odrzekła z godnością.

Poczuła, że się czerwieni, więc spojrzała wokół siebie, szukając pretekstu do zmiany towarzystwa.

- Do jego zadania skłoniła mnie zawodowa sumienność, panno Crosby - oznajmił doktor Galbraith, zanim zdążyła podejść do pastora i jego żony. - Być może zostanie pani kiedyś moją pacjentką.

- Ja nie choruję - mruknęła, nieświadomie kusząc los.

- Widzę, że już się poznaliście - wtrąciła pani Willoughby, podchodząc do nich ponownie. - To świetnie. James, czy zechcesz towarzyszyć Leonorze, kiedy będziemy przechodzić do jadalni? Nie masz mi chyba za złe, że zwracam się do ciebie po imieniu. Kiedy zechcę skorzystać z twojej porady, będę mówić: panie doktorze.

Leonora, która sączyła sherry, odstawiła kieliszek.

- Muszę przywitać się ze znajomymi, a Nora Howes marzy o tym, żeby podejść i porozmawiać z panem choćby przez chwilę.

- Skąd pani o tym wie? - spytał z rozbawieniem.

- Niech pan to złoży na karb kobiecej intuicji. Uśmiechnęła się do mego i odeszła, a on pomyślał, że tak cudownie zbudowana kobieta zasługuje na lepszą suknię. Te refleksje przerwała Nora Howes, która dotknęła jego ramienia, odchyliła głowę i zaczęła mu się ciekawie przyglądać. Zauważył, że jest nieco starsza od Leonory i chuda jak szczapa, a poza tym zbyt wyszukanie ubrana. Rozmawiał z nią jednak uprzejmie, dopóki nie podano kolacji. Doszedł do wniosku, że bardziej odpowiada mu towarzystwo Leonory.

Nie była kobietą, którą mógłby się zainteresować, gdyż zbyt obcesowo mówiła to, co myśli, ale przynajmniej nie wdzięczyła się jak pensjonarka.

Przy okrągłym stole toczyła się mniej lub bardziej ogólna dyskusja. Obok niego siedziała pani Fleming, spokojna kobieta w średnim wieku, o wiele młodsza od męża.

- Nie chciałam tu przychodzić - zwierzyła mu się półgłosem - ale on się uparł. Nie czuje się dobrze, a jutro idzie do szpitala.

- Proszę się nie martwić, pani Fleming - pocieszył ją łagodnym tonem. - Jeśli w ciągu kilku najbliższych miesięcy będzie prowadził spokojny tryb życia i przestrzegał zasad terapii, poczuje się o wiele lepiej.

- Gdyby powiedział to ktoś inny, podejrzewałabym, że mydli mi oczy - powiedziała z uśmiechem. - Ale panu wierzę.

- Dziękuję. Chciałbym, żeby wszyscy pacjenci darzyli mnie takim zaufaniem. Gdyby pani miała jakieś powody do obaw, proszę mnie natychmiast wezwać.

- Zrobię to. Cieszę się, że zamieszka pan w Buntings. Ten piękny, stary dom zbyt długo stał pusty.

Odwróciła się od niego, by porozmawiać ze swym sąsiadem z drugiej strony. Po chwili wszyscy przeszli do salonu na kawę i plotki. Miasteczko było niewielkie, ale zawsze coś w nim się działo. Przyjęcie dobiegło końca tuż przed jedenastą, a ponieważ było zimno, wszyscy natychmiast ruszyli w stronę swych samochodów. Sir William, otwierając drzwi daimlera, zerknął w kierunku zaparkowanego obok rolls-royce'a. Zanim zdążył się zastanowić, kto jest jego szczęśliwym posiadaczem, dostrzegł wsiadającego do niego doktora Fleminga.

- Na Boga, Bill, czyżbyś odziedziczył fortunę? - zawołał do niego przyjaźnie.

- Nie, nie, to pojazd Jamesa. Ładny, prawda?

- Co za szczęśliwy młody człowiek - powiedział sir William. - Może wygrał na loterii?

Leonora myślała zaś o Tonym. Nie widziała go już od tygodnia i miała nadzieję, że przyjedzie podczas najbliższego weekendu. Czowała się dziwnie niespokojna, a była przekonana, że jego towarzystwo doda jej odwagi. Nie bardzo wiedziała, po co ta odwaga, ale to nie miało znaczenia; czuła, że Tony przywróci jej światu normalne wymiary.

W sobotę po południu, kiedy istotnie przyjechał porsche pod jej dom, wybiegła go powitać. Jeśli w jego pocałunku i uścisku brakowało namiętności, jakiej można by się spodziewać od zakochanego mężczyzny, wcale tego nie zauważyła. Po prostu cieszyła się, że go widzi. Wszedł za nią do domu, by przywitać się z jej rodzicami, a potem poszli na spacer. Trzymając ją za rękę, nie przestawał mówić, a ona z radością go słuchała. Zaraz po ślubie, którego data pozostawała nieokreślona, zamierzał przystąpić do rekonstrukcji domu jej ojca.

- Znam człowieka, który dokładnie wie, co trzeba z nim zrobić - mówił z podnieceniem. - Kiedy skończymy remont, będzie to rezydencja! Będziemy mogli zapraszać przyjaciół...

Leonora spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Ależ Tony, przecież my nie będziemy tu mieszkać. A zresztą tato i mama nie byliby zachwyceni wielką ilością gości, nawet podczas weekendów.

- Och, mam na myśli specjalne okazje - odparł pospiesznie. - Boże Narodzenie, urodziny i tak dalej. - Uśmiechnął się do niej czule. - Powiedz mi, co się tu ostatnio wydarzyło.

- Niewiele. Byliśmy na kolacji u państwa Willoughby... Ach, tak, mamy nowego lekarza, który przejmuje praktykę doktora Fleminga.

- Mam nadzieję, że ten nowy okaże się dobrym lekarzem. Czy to ktoś z waszych stron?

- Chyba nie. Nie mam pojęcia skąd pochodzi. Kupił Buntings, ten uroczy, stary dom, który stoi na drugim końcu miasteczka.

- Naprawdę? To musiało go sporo kosztować. Czy jest żonaty?

- Nie wiem. Pewnie tak...

Ale Tony zaczął już mówić o sobie: ó zawieranych przez siebie transakcjach, o swych zarobkach, o ważnych ludziach, których udało mu się poznać. Leonora, słuchając go, myślała o tym, że będzie bardzo szczęśliwa, wychodząc za tak inteligentnego człowieka.

Następnego ranka poszli do kościoła. Stojąc obok Tony'ego, dostrzegła nowego lekarza i poczuła zadowolenie na myśl o tym, że może mu pokazać swego przystojnego narzeczonego.

Doktor Galbraith też był przystojny, ale... Zastanawiała się przez chwilę, co ją w nim irytuje. Być może chodzi o jego sposób ubierania; nosił eleganckie, świetnie skrojone garnitury, stonowane, konserwatywne krawaty i wytworne, zapewne ręcznie robione buty. Tony natomiast był młodym człowiekiem stosującym się do wymogów mody; lubił krzykliwe kamizelki, barwne krawaty i pasiaste koszule. Zerknęła na drugą stronę kościelnej nawy i zauważyła, że doktor Galbraith na nią patrzy.

Pospiesznie odwróciła wzrok i spojrzała na pułkownika, który właśnie czytał Lekcję. Nie słyszała ani słowa, ale udawała, że słucha go z wielką uwagą. Aż do końca mszy starała się nie patrzeć w kierunku nowego lekarza. Nie mogła jednak uniknąć spotkania po wyjściu z kościoła; stał tuż za bramą, rozmawiając z pastorem i z państwem Fleming.

Musiała się z nim przywitać i przedstawić mu swego narzeczonego.

- A więc jest pan nowym lekarzem rodzinnym - rzekł Tony. - Nie sądzę, żeby miał pan tu dużo pracy. Zazdroszczę panu tej posady. Spokój, wiejska cisza. Niektórzy ludzie nie zdają sobie sprawy z własnego szczęścia. Ja na przykład pracuję w City...

- Doprawdy? - spytał z lekką ironią lekarz. - A więc uważa się pan za nieszczęśliwego? Weekend w naszym spokojnym zakątku musi być dla pana prawdziwą przyjemnością.

- Nawet nie cały weekend - ze śmiechem odparł Tony. - Po obiedzie muszę wracać do Londynu i nadrabiać zaległości w pracy. Wie pan, jak to jest...

- A więc czeka pana miła przejażdżka do stolicy. Zapewne spotkamy się podczas pańskiej następnej wizyty. - Lekarz uśmiechnął się uprzejmie i zaczął rozmawiać z żoną pastora, która właśnie do nich podeszła. Potem, kiedy państwo Fleming ruszyli w kierunku samochodu, ukłonił się grzecznie Leonorze i odszedł z nimi.

- To jakiś sztywny facet, nie uważasz? - spytał Tony. - Chyba nie muszę się obawiać, że nawiązesz z nim bliższą znajomość.

- Jeśli to miał być żart, to moim zdaniem wcale nie jest śmieszny - odparła. - I dlaczego koniecznie musisz wracać zaraz po obiedzie?

- Kochanie - zaczął czułym głosem - po prostu muszę. W moim świecie nie można sobie pozwolić na chwilę słabości. Każdy krok do przodu ma ogromny wpływ...

- Na co?

- Na moje zarobki, rzecz jasna. Zresztą, nie zaprzataj tym sobie swojej ślicznej główki; zostaw to mnie.

- Czy zawsze tak będzie? To znaczy, po naszym ślubie? Czy nadal będziesz zniknął o najdziwniejszych porach dnia? I czy potrzebujemy aż takich pieniędzy? Czy nie zarabiasz dość, żebyśmy mogli się niedługo pobrać?

Tony pocałował ją przelotnie.

- Kochanie, ty po prostu lubisz wynajdywać sobie powody do żartów. Jestem, żeby użyć tego staroświeckiego określenia, dość zamożny. Moglibyśmy się pobrać już jutro i żyć bardzo wygodnie, Ale ja nie chcę być tylko zamożny; ja chcę być bogaty. Chcę mieć piękne mieszkanie w Londynie i tyle pieniędzy, żeby odbywać zagraniczne podróże, kupować ci piękne stroje, chodzić do teatru...

- Tony, mnie na tym wcale nie zależy. Nie jestem panią ze stolicy, a przynajmniej tak mi się wydaje. Lubię mieszkać na wsi i nie potrzebuję dużo pieniędzy. Jestem przyzwyczajona do ograniczania wydatków. - Zamyśliła się, a potem dodała: - Być może zakochałeś się w nieodpowiedniej dziewczynie.

Tony otoczył ją czule ramieniem.

- Kochanie, co to za głupstwa? Gdy tylko cię ujrzałem na tym przyjęciu u państwa Willoughby, wiedziałem, że jesteś dziewczyną, jakiej szukam.

W pewnym sensie mówił prawdę. Leonora była ładną kobietą, dojrzałą do miłości. Nie miała rodzeństwa ani dużej rodziny, która mogłaby skomplikować ich życie. Mieszkała w pięknym, starym domu, a on wiedział, że ziemia należąca do jej ojca będzie miała ogromną wartość, gdy tylko wpadnie w jego ręce.

Zdawał sobie sprawę z tego, że musi zmierzać do celu powoli i że nie wolno mu zrobić nic, co mogłoby unieszczęśliwić Leonorę. Ale był przekonany, że jej rodzicom wystarczy mały domek w sąsiedztwie. Wtedy on, jako

właściciel rezydencji, będzie mógł zapraszać do niej wpływowych ludzi, którzy pomogą mu się wspinać po szczeblach finansowej kariery.

Czuł, że jeśli kupi Leonorze odpowiednie stroje, może ona okazać się bardzo cennym nabytkiem. Ma przecież znakomite maniery i piękny głos. Uważał, że jest niekiedy zbyt niezależna i inteligentna, ale był pewien, że przekona ją do swojego sposobu myślenia.

Upłynęło kilka dni, nim ponownie spotkała doktora Galbraitha. Nadeszła odwilż, z ciemnego nieba płynęły potoki deszczu. Sir William zaziębił się i siedział posępnie przy kominku. Jego żona opiekowała się nim troskliwie, a niania podawała mu gorące napoje i aspirynę. Leonora zajmowała się prowadzeniem domu, bo choć bardzo kochała ojca, wiedziała, że towarzystwo dwóch kobiet najzupełniej mu wystarczy. Ścieliła więc łóżka, odkurzała pokoje i gotowała posiłki. Gdy stwierdziła, że trzeba uzupełnić zapasy, włożyła stary trencz i wcisnęła na głowę kapelusz, który dawno już stracił jakikolwiek kształt, potem wzięła koszyk, oznajmiła domownikom, że idzie do miasteczka i wyruszyła w drogę.

- Przynajmniej nie będziemy się ślizgali na lodzie - mruknęła do biegnącego obok niej Wilkinsa. - Ale obawiam się, że możemy nieźle zmoknąć.

Sklep pani Pike był pusty, więc właścicielka pozwoliła psu wejść do środka i położyć się na gazecie. Leonora wyjęła tymczasem z kieszeni listę zakupów. Kiedy w sklepie nie było wielu klientów, pani Pike nigdy się nie spieszyła; gawędząc z Leonora, zdejmowała z półek boczek, ser, świeży chleb, ulubioną marmoladę sir Williama, cukier, kawę, herbatę i mąkę. Tego dnia nie miała wielu nowych wiadomości. Pani Hick urodziło się kolejne dziecko, najmłodszy syn Kempów złamał rękę...

- Czego można się spodziewać po chłopcu? - spytała retorycznie pani Pike. - Czy pani wie, panno Leonoro, że Jenkins, ten farmer, domaga się, żeby hurtownia kupowała od niego coraz więcej mleka? Naprawdę nie wiem, ku czemu zmierza ten świat!

To ulubione zdanie pani Pike stało się wstępem do długiego, pesymistycznego monologu poświęconego rozpadowi tradycyjnych wartości. Leonora odczuła więc pewną ulgę, gdy do sklepu weszły dwie klientki. Zebrała swoje zakupy i ruszyła w kierunku domu. Nadal padał deszcz.

Doktor Galbraith, który wyjeżdżał właśnie z miasteczka, ujrzał przed sobą maszerującą szybkim krokiem kobietę i biegnącego obok niej psa. Wyprzedził ich, a potem zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

- Proszę wsiadać - zawołał, uchylając drzwi. - Podwiozę panią do domu. Pies może się położyć z tyłu.

- Dzień dobry, panie doktorze - powiedziała, kładąc nacisk na ostatnie słowa. - Niech pan sobie nie robi kłopotu. Oboje jesteśmy mokrzy, więc zabrudzimy panu samochód.

Lekarz bez słowa wysiadł, podszedł bliżej i otworzył drzwi. Wilkins natychmiast wskoczył do środka.

- Niech pani wsiada.

- No dobrze - mruknęła niechętnie, wślizgując się na miejsce obok kierowcy. - Ale ostrzegałam pana, że oboje jesteśmy mokrzy.

- To prawda, a teraz ja też ociekam wodą. - Zerknął na nią spod oka i dodał: - To strata czasu, Leonoro.

- Co pan uważa za stratę czasu?

- To, że zawsze próbuje pani postawić na swoim. - Wjechał na drogę i uśmiechnął się do niej. - Jak się miewają rodzice?

- Bardzo dobrze... choć w gruncie rzeczy to nieprawda. Ojciec jest okropnie zaziębiony. Kiedy coś mu dolega, staje się nie do zniesienia, a mama umiera z niepokojem.

- Wobec tego może go zbadam. Przeziębienia o tej porze roku mogą mieć przewlekły przebieg. Może przepiszę mu coś, co szybko postawi go na nogi.

- No dobrze, ale czy nie jest pan zajęty wizytami domowymi?

- Nie. - Minął bramę i zaniedbany podjazd, stanął przed domem, wysiadł, obszedł samochód i otworzył jej drzwi, a potem wypuścił Wilkinsa.

- Proszę wejść i zdjąć płaszcz - rzekła Leonora, przypominając sobie o obowiązkach gospodyni. - Zaraz zawołam mamę.

- W tym momencie dostrzegła schodzącą po schodach nianię.

- Nianiu, dobrze że jesteś. To doktor Galbraith, nasz nowy lekarz. Był tak uprzejmy, że przyjechał zbadać tatę.

- Łaska boska! - mruknęła niania, przyglądając mu się badawczo. - Dzień dobry, panie doktorze. Widzę, że jest pan szlachetnym i uczynnym młodym człowiekiem. Proszę mi dać swój płaszcz, to powieszę go, żeby wysechł. Panna Leonora zaprowadzi pana tymczasem do naszego pana. Panno Leonoro, proszę zdjąć płaszcz i kapelusz, a ja wytrę Wilkinsa. Kiedy państwo zjedzą na dół, zaraz podam kawę.

Sir William siedział w sypialni przy płonącym kominku, a jego żona pochylała się nad nim troskliwie. Na ich widok odetchnęła z wyraźną ulgą.

- Och, doktorze Galbraith, właśnie zastanawiałam się, czy do pana nie zadzwonić. Widzę, że Leonora mnie uprzedziła...

- Owszem, lady Crosby. Ponieważ i tak tędy przejeżdżałem, uznaliśmy, że powinienem chyba zbadać męża.

Podszedł do chorego, a Leonora zdała sobie sprawę, że mężczyzna, który robił co mógł, by ją zirytować, przeobraził się natychmiast w kompetentnego, budzącego zaufanie lekarza.

- Co panu dolega, sir? - spytał troskliwym tonem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pacjent odkaslnął, wytarł nos i odkaslnął ponownie.

- To nic poważnego - powiedział. - Po prostu zaziębienie. Nie mogę spać i czuję się ciągle zmęczony.

Leonora pomogła mu zdjąć szlafrok i ruszyła za matką w kierunku drzwi, ale zatrzymała się pod wpływem impulsu.

- Czy mogę być panu w czymś pomocna? - spytała, odwracając się do lekarza.

- Tak, proszę zostać - mruknął z roztargnieniem, pochylając się nad pacjentem.

Stała przy oknie, patrząc na tonący w deszczu krajobraz i słuchając spokojnych pytań lekarza oraz gderliwych odpowiedzi swego ojca. Najwyraźniej nie czuł się dobrze. Zaczęła żałować, że nie wezwała doktora o wiele wcześniej.

Kochała swych rodziców, a ich stosunki układały się bardzo dobrze. W gruncie rzeczy była zadowolona, że nadal z nimi mieszka. Zanim ojciec stracił pieniądze, mówiło się o wysłaniu jej do Włoch, o tym, że powinna przygotować się do jakiejś kariery zawodowej i kupić sobie mieszkanie w Londynie. Cały świat zdawał się stać przed nią otworem.

Nie żałowała utraty tych wszystkich możliwości. Było jej tylko czasem przykro, że nie może pozwolić sobie na nowe stroje, wizyty w teatrach, kolacje w wytwornych restauracjach. Ale te pragnienia nie były na tyle silne, by ją unieszczęśliwić.

Teraz, kiedy Tony zaproponował jej małżeństwo, miała nadzieję, że uda się jej wykorzystać możliwości, jakie oferowały oba światy: zamieszka z mężem w Londynie i będzie brała udział w jego życiu, nie rezygnując z wizyt w rodzinnym domu.

- Czy zechciałaby pani włożyć ojcu szlafrok? - spytał doktor Galbraith, przerywając ten tok myśli. - Proszę podawać choremu to lekarstwo - dodał, nie podnosząc wzroku znad

wypisywanej właśnie recepty. - To antybiotyk. Zalecam kilka dni w łóżku. Grypa, nie leczona we właściwy sposób, może okazać się przewlekła. - Wręczył jej receptę i zamknął torbę. - Wpadnę jutro lub pojutrze, ale gdyby stan ojca wydał się pani niepokojący, proszę do mnie natychmiast zadzwonić.

- Mam nadzieję, że nie zaraziłem żony - mruknął ponuro sir William.

- Jak już mówiłem, proszę się ze mną w razie potrzeby skontaktować - powtórzył doktor Galbraith i dodał z uśmiechem: - Lepiej działać zbyt wcześnie, niż zbyt późno.

- Bardzo jestem panu wdzięczny za tę wizytę - oznajmił sir William. - Na dole podadzą panu kawę. Czy ma pan dużo pracy?

Doktor Galbraith, który spędził bezsenną noc, odbierając przedwczesny poród, oświadczył, że nie czuje się przeciążony obowiązkami.

- Taki pobyt na prowincji musi być mniej męczący niż praktyka w mieście - uznał sir William, nie mając pojęcia o tym, że rejon doktora Galbraitha obejmuje wiele mil. Niektóre gospodarstwa leżały z dala od głównych dróg, a prowadzące do nich ścieżki często zamieniały się w błotniste bezdroża.

Lady Crosby czekała na nich w salonie.

- Przynieś kawę, Leonoro. Niania już ją zaparzyła. Panie doktorze, proszę usiąść i powiedzieć mi, czy mąż jest naprawdę chory, czy też cierpi tylko na przeziębienie.

- To grypa, proszę pani. Będzie musiał poleżeć w łóżku i zażywać zapisany przeze mnie antybiotyk. W ciągu tygodnia powinien wyzdrowieć, jeśli będzie zachowywał się spokojnie i leżał w ciepłym pokoju. Nie jest już taki młody.

Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła jego uśmiech.

- Ma sześćdziesiąt jeden lat; ja jestem od niego znacznie młodsza - odparła lady Crosby. Była niegdyś ładną kobietą,

przywykłą do adoracji ze strony mężczyzn, więc jej uśmiech stanowił zaproszenie do dalszej wymiany zdań.

Kiedy nie usłyszała oczekiwanego komplementu, poczuła się lekko rozczarowana. Przez większą część życia była przez wszystkich rozpieszczana. Dopiero w ostatnich, trudnych latach musiała wyrzec się wygód i luksusów, do których była przyzwyczajona. Kochała męża i córkę, ale uważała ich uczucia i zabiegi za należny sobie hołd.

- Jadę do Bath - powiedział lekarz. - Może pani córka wybrałaby się ze mną, żeby kupić lekarstwo, które przepisałem mężowi? Odwiozę ją do domu w ciągu godziny.

Leonora, która wchodziła właśnie do salonu, niosąc tacę z filiżankami, usłyszała jego ostatnie zdanie.

- Och, nie ma takiej potrzeby - oznajmiła. - Mogę przecież wziąć samochód. Nie chciałabym sprawiać panu kłopotu.

- Nonsens, moja droga - wtrąciła jej matka. - Po co brać samochód, skoro możesz skorzystać z uprzejmości doktora Galbraitha, który i tak wraca do miasteczka? Przy okazji mogłabyś kupić mi nici do haftowania. Czy zaniósł już tacę ojcu? - ciągnęła, nalewając kawę. - Na pewno ma ochotę na coś ciepłego.

- Uśmiechnęła się promiennie do lekarza. - Będziemy się nim dobrze opiekowali, panie doktorze.

Doktor Galbraith spojrział uważnie na matkę i córkę i doszedł do wniosku, że Leonora odziedziczyła urodę po matce. Miał nadzieję, że przejęła po ojcu bezpośredniość i silną osobowość. Był nieco zdziwiony, że taka dziewczyna mieszka nadal z rodzicami i dźwiga ciężar prowadzenia podupadającego, choć nadal pięknego domu. Przypomniał sobie z ulgą, że jest zaręczona i pewnie niedługo wyjdzie za mąż, choć jej narzeczony nie wydał mu się zbyt sympatyczny.

Leonora ubrała się ciepło i po chwili wsiadła do jego samochodu. Stwierdził z przyjemnością, że znalazła jakiś znośnie wyglądający kapelusz, a jej torebka i rękawiczki wyglądają nienagannie. Nie interesował się tym zwykle, ale uznał, że taka uroda zasługuje na właściwą oprawę. Potem z satysfakcją zauważył, że zaczyna być mniej spięta. Stopniowo skierował rozmowę na bardziej osobiste tematy. Leonora bez skrupowania odpowiadała na jego pytania, nie zdając sobie sprawy z tego, że mówi o problemach, z których nie zwierzała się nigdy rodzicom, a tym bardziej Tony'emu: o swoich wątpliwościach, troskach i trudnych do zrealizowania planach.

- Przepraszam, że pana zanudzam - powiedziała nagle, kiedy byli już na przedmieściu Bath. - Ma pan zapewne dosyć wysłuchiwanie skarg pacjentów.

- Nie, rozmowy nigdy mnie nie nudzą. Może tylko pusta gadanina, jaką słyszy się na przyjęciach. Zamierzam zaparkować pod szpitalem. Na Milsom Street znajdzie pani najbliższą aptekę. Proszę wykupić lekarstwo i wrócić do samochodu. Tuż obok szpitala, koło kościoła, jest spokojna restauracja. Mam nadzieję, że zgodzi się pani zjeść ze mną lunch. - Kiedy otworzyła usta, by mu odmówić, dodał: - Nie, proszę nie mówić, że musi pani natychmiast wracać do domu; i tak spóźni się pani na lunch, a ja obiecuję, że odwiozę panią za godzinę. Po południu mam operację.

- Dziękuję, będzie mi bardzo miło - odrzekła. - Nie chciałabym przebywać długo poza domem ze względu na tatę...

Doktor Galbraith zatrzymał samochód pod szpitalem i wysiadł, by otworzyć jej drzwi.

- Będę tu przez piętnaście minut. Gdyby mój pobyt się przedłużał, proszę wejść i poczekać w holu.

Patrzył za nią, kiedy się oddalała, i doszedł do wniosku, że wygląda bardzo korzystnie. Uśmiechnął się i wszedł do szpitala. Kiedy wróciła, stał już obok samochodu.

- Zostawimy auto na tym parkingu; mamy do przejścia tylko kilka kroków.

Restauracja była niewielka i spokojna, a jedzenie zasługiwało na pochwały. Leonora, rozkoszując się upieczoną na grillu solą, postanowiła wspomnieć o tym lokalu Tony'emu. Od dawna już nie byli nigdzie razem. Narzeczony twierdził, że woli przebywać w jej towarzystwie w domu, spędzała więc długie godziny w kuchni, usiłując przyrządzić dania, które wzbudzą jego uznanie, a nie uszczuplą za bardzo domowego budżetu.

Odczuła żal, że Tony nie siedzi teraz naprzeciwko niej zamiast doktora Galbraitha, ale natychmiast zgaśniła się w duchu za tę niewdzięczność. Lekarz nie miał przecież obowiązku zapraszania jej na lunch, a co więcej, okazał się bardzo miłym kompanem. Rozmawiali o Bath, o miasteczku Pont Magna i jego mieszkańcach, a także o tamtejszych domach.

- Bywałam w Buntings jako mała dziewczynka - wyznała Leonora. - To piękna, stara rezydencja. Czy jest pan z niej zadowolony?

- Owszem. To takie miejsce, w którym człowiek natychmiast czuje się u siebie. Pani pewnie odczuwa to samo?

- Och, tak. Tyle tylko, że nasz dom wymaga gruntownego remontu. W zeszłym roku zamierzał go kupić pewien Amerykanin, ale ojciec nie chciał o tym słyszeć. Jego przodkowie mieszkali tam od niepamiętnych czasów. Gdyby musiał go opuścić, pękłoby mu serce.

- Rozumiem go. To zachwycający dom, ale chyba trochę za duży i trudny do utrzymania.

- To prawda. Niektóre pokoje są zamknięte, a ja i niania jakoś sobie radzimy z resztą.

- Nianie to wspaniały wynalazek - oznajmił pogodnym tonem. - Czy możemy już jechać? Muszę panią odwieźć, zanim ktoś pomyśli, że panią porwałem.

Wkrótce potem zatrzymał samochód przed jej domem. Wsiadł, otworzył jej drzwi i czekał, dopóki nie zniknęła we wnętrzu. Był znakomicie wychowany, a ona miała nadzieję, że podziękowała mu wystarczająco serdecznie.

- Dobrze, że już jesteś, kochanie - powitała ją matka, kiedy zajrzała do salonu. - Czy masz te tabletki dla ojca? Jest okropnie poirytowany, więc zesłałam na dół, żeby trochę odpocząć. Odkryłam, że opieka nad chorymi bardzo mnie męczy. Chyba niedługo zjemy podwieczorek.

- Zaraz się tym zajmę, mamó - obiecała Leonora, wychodząc z pokoju i ruszając w stronę kuchni.

- Czy nie jest pani głodna, panno Leonoro? - spytała niania. - Zostało mnóstwo pieczonej wołowiny...

- Doktor Galbraith zaprosił mnie na doskonały lunch - odparła. - Mama chce zjeść podwieczorek trochę wcześniej niż zwykle. Mogłabym go zrobić, ale muszę zająć się tatą. Sir William wyraźnie ucieszył się na jej widok.

- Przywiozłam ci lekarstwo, więc musisz od razu zacząć kurację - oznajmiła mu pogodnym tonem. - Czy masz ochotę na filiżankę herbaty i chleb z masłem? - Przysiadła na krawędzi łóżka. - Co powiedziałbyś na jajecznicę, puree z ziemniaków i galaretkę na deser?

- Świetnie - odparł z uśmiechem sir William. - Będzie nam cię brakowało, kiedy wyjdiesz za mąż, kochanie. Czy jesteś całkiem pewna, że dokonałaś słusznego wyboru? Tony robi karierę, będzie chciał mieszkać w Londynie...

- Nie przez cały czas, tato - zaprzeczyła, kręcąc głową.

- Mówił mi, że będziemy tu przyjeżdżali, gdy tylko pozwolą mu na to jego obowiązki. Jak wiesz, on kocha ten dom.

- Ten dom mógłby się stać żyłą złota dla kogoś, kto będzie miał dość pieniędzy, żeby doprowadzić go do właściwego stanu - stwierdził ojciec. - Na razie ulega dalszej dewastacji. Ale przynajmniej będzie kiedyś twój.

- Nieprędko, tatusiu, - Podała mu szklankę wody i leki. - Masz je brać co cztery godziny. A teraz idę po herbatę.

Pocałowała go w czoło i zeszła do kuchni, w której niania piekła ciasteczka. Przygotowała tacę z herbatą i zniosła ją na górę. Potem wróciła do salonu i usiadła przy kominku.

- Muszę przyznać, że ten doktor Galbraith wydaje się bardzo miły - oświadczyła matka. - . Musimy zaprosić go kiedyś na kolację. Leonoro, przypomnij mi, żebym zrobiła listę gości i wymyśliła jakieś smaczne danie.

- Dobrze, mamó. Myślę, że ojciec z radością powita ten pomysł, kiedy poczuje się lepiej.

- Ależ oczywiście, kochanie. Gdzie jadłaś lunch? Ten lekarz zachował się bardzo uprzejmie, zapraszając cię na posiłek. - Ach, znam tę restaurację - dodała, kiedy Leonora podała jej nazwę lokalu. - Jest dobra, ale droga. Ten Galbraith jako kawaler może sobie pozwolić na jądanie w takich miejscach. Byłam zdziwiona, że nie jest żonaty, ale on pewnie chce najpierw urządzić się w nowym domu. Lekarzowi, szczególnie kiedy praktykuje na prowincji, potrzebna jest gospodarna żona. Byłby idealnym kandydatem dla ciebie, gdybyś nie była już zaręczona. Jest czarujący i pochodzi chyba z dobrej rodziny.

Leonora pomyślała o Tonym. On też był czarujący i wesoły. Często jej dokuczał, twierdząc, że jest staromodna i zbyt zasadnicza. „Wybaczam ci to - mówił ze śmiechem. - Zmienisz się, kiedy przeniosę cię do miasta”.

Tłumaczyła mu za każdym razem, że nie chce się zmieniać. „Nie byłabym wtedy sobą” - twierdziła, a on zaczynał się irytować. Ale już po chwili wracał mu dobry humor. Nie miała wątpliwości, że będą szczęśliwi. Spojrzała na otrzymany od niego pierścionek i uświadomiła sobie, jak wielką przyjemność sprawia jej samo myślenie o tym związku.

Tej nocy śnił jej się doktor Galbraith, a wspomnienie o tym śnie prześladowało ją przez cały następny dzień. Chcąc je rozproszyć, napisała długi list do Tony'ego.

Ojciec czuł się już znacznie lepiej, choć nadal kaszłał i wyglądał na zmęczonego. Zastanawiała się, co zrobi, jeśli antybiotyk nie zacznie skutecznie działać; doktor Galbraith pojawił się jednak następnego ranka. Ponieważ Leonora odkurzała właśnie pokoje położone na piętrze, drzwi otworzyła mu jej matka.

- Panie doktorze, jak się cieszę, że znów nas pan odwiedził. W samą porę, żeby się napić kawy. Poproszę Leonorę lub nianię, żeby podały ją w salonie. - Uśmiechnęła się do niego czarująco.

- Nienawidzę pić kawy w samotności...

- Wpadłem, żeby zbadać sir Williama, i choć marzyłbym o filizance kawy, nie mam na nią czasu - odparł z uśmiechem.

- Mam dziś przed południem jeszcze kilka wizyt. Czy mogę pójść do chorego?

- Och, szkoda, moglibyśmy odbyć drobną pogawędkę. Nie pójdę z panem na górę. Leonora odkurza właśnie sypialnię i jestem pewna, że spełni wszystkie pańskie polecenia.

Odkurzacz pracował tak głośno, że doktor Galbraith zdążył przyjrzeć się Leonorze, zanim wyczuła jego obecność i odwróciła głowę. Miała na sobie fartuch, jej włosy przewiązane były kolorową chustką,

- Dzień dobry - powiedziała, wyłączając hałaśliwą maszynę. - Pewnie chce pan się zobaczyć z ojcem. Noc spędził spokojnie, ale nadal odczuwa ból w klatce piersiowej.

Zdjęła fartuch i chustkę, a potem zaprowadziła go do pokoju ojca. Po zbadaniu chorego lekarz stwierdził, że jest zadowolony z jego stanu, kazał mu jednak pozostać w łóżku.

- Może pan codziennie wstawać na jakąś godzinę - oznajmił stanowczym tonem - ale proszę nie opuszczać tego pokoju. Odwiedzę pana ponownie jutro lub pojutrze.

- Pani ojciec nie jest jeszcze całkiem zdrowy - oznajmił, schodząc z Leonorą na dół. - Cudem uniknął zapalenia płuc. Musi przebywać w ciepłym pomieszczeniu, pić dużo płynów i dobrze się wysypiać. Proszę nie wypuszczać go z łóżka na dłużej niż godzinę dziennie.

Mówił obojętnym tonem lekarza, a Leonora poczuła się trochę urażona. Czy on nie może zdobyć się na odrobinę bezpośredniości? - myślała w duchu. Bądź co bądź zjedliśmy razem lunch...

Kiedy lady Crosby pojawiła się w holu, doktor Galbraith dodał kilka słów otuchy, pożegnał się zdawkowo i odjechał.

Podczas weekendu pojawił się Tony. Wpadł do domu jak burza i wyjaśnił, że wyrwał się z pracy, by zrobić jej niespodziankę.

- Sprawiasz wrażenie osoby, której przyda się zastrzyk optymizmu - oznajmił Leonorze, która istotnie była nieco wyczerpana opieką nad krnąbrnym pacjentem i nie wyglądała dobrze. - Jak ojciec? Mam nadzieję, że to nic poważnego?

- Czuje się lepiej, ale ma bóle w klatce piersiowej. Wstanie dziś na godzinę, ale nie wolno mu wychodzić z domu, dopóki nie przestanie kaszleć.

- A gdzie jest twoja czarująca matka?

- Pojechała na kawę do pułkownika Howesa. - Leonora zawahała się. - Tony, czy nie będziesz miał mi za złe, że

zostawię cię na chwilę? Przyniosę ci do salonu kawę i gazety. Nie skończyłam jeszcze sprzątanania, a poza tym muszę przygotować dla ciebie pokój. Zostaniesz na noc, prawda?

- No cóż, jeśli nie sprawię ci zbyt wiele kłopotu...

- Oczywiście, że nie - rzekła pospiesznie, widząc na jego twarzy zawód. - Usiądź i poczekaj. Zaraz do ciebie wrócę.

- Chyba pójdę tymczasem porozmawiać z twoim ojcem - oznajmił Tony, wstając z krzesła.

- Nie, nie rób tego. On się teraz goli i ubiera. Za chwilę oboje zejdziemy na dół. Podam ci kawę. Jak minęła podróż?

- Nieźle - odparł. - Ale to miasteczko leży strasznie daleko od Londynu.

Powinnam cieszyć się z jego wizyty, myślała Leonora, ustawiając filiżanki na tacy i słuchając uwag niani na temat osób, które przyjeżdżają bez zapowiedzi na weekendy. Ale czy nie mógł wcześniej zatelefonować?

- Dobrze, pójdę do rzeźnika po kotlety - obiecała, przerywając niani. - Czy mamy dosyć jajek?

- Nie. Pan Beamish dostanie na śniadanie bekon i grzybki, które przysłała nam pani Fleming. Ciasto też już się kończy.

- Upiekę następne, nianiu.

- Ktoś dzwoni do drzwi! - zawołała niania, dając do zrozumienia, że jest zbyt zajęta, by je otworzyć. Zrobiła to więc Leonora i ujrzała stojącego na progu doktora Gaibraitha.

Widząc jego spokojny wyraz twarzy, nie wiadomo dlaczego poczuła nagle, że ma ochotę się rozplakać.

- Przyjechałem z wizytą do pani ojca - oznajmił uprzejmym tonem.

- Tak, oczywiście. Proszę wejść... - wyjąkała niepewnie.

- Widzę, że przeszkadzam - powiedział, przyglądając jej się uważnie. - Co się stało? Wygląda pani na zmęczoną. Ach tak, oczywiście - mruknął cicho, widząc pojawiającego się w holu Tony'ego i dodał głośniejszym głosem: - Dzień dobry panu.

- Ach, otóż i miejscowy lekarz! - zawołał Tony. - Dzień dobry. Przyszedł pan zbadać naszego inwalidę, prawda?

- Owszem - odparł sucho doktor Galbraith i odwrócił się do Leonory. - Czy możemy pójść na górę?

- Idę z wami! - zawołał Tony. - Staruszek zawsze chętnie mnie widzi.

W tym momencie pojawiła się w holu niania.

- Proszę wrócić do salonu i wypić kawę, dopóki jest gorąca, panie Beamish - poleciła, uwalniając lekarza od obowiązku reakcji na wypowiedź Tony'ego.

Tony nie znosił niani, ale zastosował się do jej polecenia, obiecując sobie, że kiedy zostanie mężem Leonory, natychmiast wyrzuci tę niezdolną kobietę z domu.

Idąc z Leonorą na górę, James Galbraith utwierdził się w przekonaniu, że istotnie nie wygląda ona tego dnia najlepiej. Ale choć nie była umalowana i miała na sobie starą spódnicę oraz znoszony sweter, jej uroda nadal rzucała się w oczy.

- Czy lady Crosby jest w domu? - spytał zdawkowo.

- Nie, pojechała na kawę do państwa Howes. Zna pan pułkownika i jego córkę, prawda?

Doktor Galbraith, który jadł z nimi poprzedniego wieczoru kolację, nie odpowiedział na jej pytanie, lecz sam zadał dwa następne.

- Dlaczego nie pojechała pani z matką? Czy nie lubi pani odwiedzać sąsiadów?

- Ja? Ależ tak, chętnie spotykam się z ludźmi. Ale dziś mamy weekend, a Tony przyjechał niespodziewanie z Londynu, więc jestem trochę bardziej zajęta niż zwykle.

Nie odpowiedział, bo stanęli właśnie przed drzwiami sypialni sir Williama. Mężczyzna siedział w piżamie w fotelu i wyglądał przez okno. Gdy weszli, odwrócił głowę.

- Leonoro, czy przyniosłaś mi kawę? Jest już po dziesiątej. - Urwał gwałtownie na widok lekarza. - Dzień

dobry! Jak pan widzi, wyglądam dużo lepiej. Zaraz się ubiorę i zejdę na lunch.

- Nie widzę przeciwwskazań - oznajmił lekarz, siadając obok niego. - Ma pan piękny widok z tego okna, nawet o tej porze roku. Co z kaszlem?

- Lepiej, o wiele lepiej. Biorę te tabletki, które mi pan zapisał. Leonora troskliwie się mną opiekuje. Mamy szczęście, że nasza córka tak dobrze o nas dba.

- Będzie państwu jej brakowało, kiedy wyjdzie za mąż - zauważył lekarz, mierząc mu tętno.

- Tak, tak, oczywiście... Ale Tony bardzo lubi ten dom i jestem pewien, że będą nas często odwiedzać.

Doktor starannie osłuchiwał jego klatkę piersiową i serce, zadał mu kilka pytań i stwierdził wyraźną poprawę.

- Proszę pozostać w domu przez jakieś dwa dni, a kiedy pan wyjdzie, musi pan być ciepło ubrany - oznajmił w końcu.

Kiedy schodzili na dół, z salonu wynurzył się Tony.

- I co, jak diagnoza? - spytał. - Nie dziwię się, że sir William zachorował; ten dom wygląda cudownie, ale panuje w nim nieznośna wilgoć. Musiałby wydać majątek na jego remont. Powinien znaleźć coś mniejszego i bardziej nowoczesnego.

- Tony, wiesz doskonale, że moi rodzice nigdy się nie zgodzą na przeprowadzkę - rzekła Leonora, patrząc na niego ze zdziwieniem. - Dlaczego zresztą mieliby to zrobić? Są tu szczęśliwi.

Tony chwycił ją czule za rękę.

- Oczywiście, kochanie. Chodź na kawę. Miło było pana spotkać - dodał, kłaniając się lekko lekarzowi.

Leonora, niezadowolona, zmarszczyła brwi. Tony zachowywał się nieuprzejmie.

- Bardzo dziękuję, że pan przyszedł - powiedziała. - Będę pilnowała ojca. Czy odwiedzi nas pan ponownie?

- To chyba zbyt wiele, ale proszę do mnie zatelefonować, gdyby ten kaszel nie ustąpił w ciągu najbliższego tygodnia. - Ignorując Tony'ego, podał jej rękę i wyszedł.

- Byłeś dla niego nieuprzejmy - stwierdziła Leonora, wchodząc do salonu.

- Przepraszam cię, kochanie, ale nie mogę znieść tego doktora, który na wszystkich patrzy z góry. Wydaje mu się, że wszystko wie. Znam ten typ ludzi.

- Jest dobrym lekarzem - zaproponowała. - I wszyscy go lubią, z wyjątkiem ciebie.

- Nie warto się o niego kłócić. Przyjechałem tu, żeby spędzić z tobą weekend, więc wykorzystajmy tę okazję. Bóg jeden wie, jak trudno mi się wyrwać. Może przebrałabyś się w jakieś ładne ciuchy i pojechała ze mną na lunch?

- Tony, mam na to wielką ochotę, ale nie mogę. Kiedy przyjechałeś, zmieniałam właśnie pościel. Muszę to skończyć, a potem zrobić lunch, upiec ciasto i przygotować coś na kolację. Ojciec czeka na swoją kawę, a mama niedługo wróci. Oni lubią jeść podwieczorek o wpół do piątej, a kolacja...

- Na miłość boską, czy nie może się tym zająć niania?

- Nie. Trzeba sprzątnąć kuchnię i przygotować jedzenie, a kiedy ja jestem zajęta, ona otwiera drzwi i biega na górę do ojca. Poza tym jedna z nas musi pójść po zakupy.

- No cóż, myślałem, że zostanę radośnie powitany - rzekł z widoczną urazą Tony - ale zdaje mi się, że powinienem jak najprędzej wyjechać!

- Nie bądź niemądry - zgromiła go Leonora. - Wiesz, jak się cieszę z twojej wizyty, ale nie mogę udawać, że nie mam nic do roboty. Po południu możemy pójść na spacer.

Tony niechętnie zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że kiedy przyjadę następnym razem, będziesz wyglądała jak moja narzeczona, a nie jak jakaś pomoc domowa.

. Roześmiał się głośno, a ona, ukrywając urazę, poszła za jego przykładem. Przypomniała sobie w duchu, że Tony jest czarujący i zasługuje na jej miłość, a poza tym ciężko pracuje i nie ma wiele czasu na rozrywki. Mimo to nie mogła zapomnieć o czekających ją obowiązkach. Na szczęście w tym momencie wróciła matka, skarżąc się głośno na ohydną kawę, jaką podano jej w domu pułkownika.

- Kochanie, zaparz mi filiżankę - poprosiła, rozsiadając się w fotelu. Potem zwróciła się do Tony'ego. - A teraz niech pan mi opowie wszystkie najnowsze plotki.

Sir William nie był zachwycony wiadomością o wizycie Tony'ego. Kochał córkę i zdawał sobie sprawę, że dziewczyna w jej wieku powinna prowadzić inny tryb życia, ale nie miał pojęcia, jak jej go zapewnić. Gdy zakochała się w Tonym, widział, że jest zachwycona, więc nie okazywał antypatii, jaką budził w nim jego przyszły zięć. Wiedział, że szczęście córki jest ważniejsze niż jego uprzedzenia. Tony był bądź co bądź człowiekiem sukcesu i mógł zapewnić jej życie w luksusie.

Wyraził więc zadowolenie, którego wcale nie odczuwał, i zapowiedział, że zejdzie na lunch. Leonora pospiesznie dokończyła sprzątanie, a potem zaczęła się przebierać. Włożyła skromny sweter i spódnicę, zrobiła makijaż i ułożyła włosy. Kiedy schodziła później na dół, usłyszała dochodzący z salonu głośny śmiech matki i Tony'ego, więc zajrzała jeszcze do kuchni, by naradzić się z nianią w sprawie lunchu. Postanowiły przygotować zupę czosnkową, a potem omlety z serem i grzybami, sałatkę i melbę.

- O kolację zatroszczymy się później - rzekła Leonora. - Nakryję teraz do stołu, a po lunchu pójdę do miasteczka. Chyba kupię udziec wołowy, który zjemy dziś na gorąco, a jutro na zimno.

Wróciła do salonu i słuchała przez chwilę, jak Tony w zabawny sposób opowiadał o swoim życiu w Londynie.

Doszła do wniosku, że jest czarujący. Miała nadzieję, że po ślubie będzie w stanie go uszczęśliwić; żyć jego życiem, chodzić z nim do teatru, na prośzone kolacje i na uroczyste przyjęcia, które, jak ją zapewniał, odgrywały ważną rolę w jego pracy. Po chwili wymknęła się z salonu, by pomóc niani w przygotowaniu lunchu. Miała nadzieję, że Tony pójdzie z nią, ale on tylko uśmiechnął się i pomachał jej ręką.

- Nie znikaj na długo, kochanie. Będę za tobą tęsknił.

Ubijając jajka, robiąc sałatkę i nakrywając do stołu, doszła do wniosku, że Tony postąpił słusznie, zostając w salonie z jej rodzicami. Gdy po lunchu oznajmiła mu, że wybiera się do miasteczka, zmarszczył brwi, ale po chwili uśmiechnął się promiennie.

- Będziemy mieli okazję porozmawiać - rzekł z radością. - Mam nadzieję, że nie zamierzasz składać żadnych wizyt.

- Nie, nie, chodzi tylko o zakupy. Spacer doda ci apetytu przed podwieczorkiem.

Przed sklepem rzeźnika spotkali pastora, z którym Tony wszczął ożywioną konwersację. Leonora zostawiła ich samych i kupiła mięso. Kiedy wróciła, nadal rozmawiali.

- Kochanie, pastor pyta, czy ustaliliśmy już datę ślubu - oznajmił Tony, obejmując ją. - Wszystko zależy jeszcze od pewnych okoliczności, ale najprawdopodobniej dojdzie do niego w najbliższym czasie. Może w czerwcu? Oczywiście, o ile panna młoda wyrazi zgodę na ten termin.

- Nie mieliśmy tu ślubu już od dawna - rzekł zadowolony pastor - a czerwiec to bardzo szczęśliwy miesiąc dla nowożeńców.

- Miły staruszek - zauważył Tony, kiedy ruszyli z powrotem w stronę domu. - Bardzo chciałby dać nam ślub.

- Czy ty na prawdę myślisz o czerwcu?

- Dlaczego nie, kochanie? - spytał, chwytając ją za rękę. - Będzie to wymagało pewnego pośpiechu, ale chyba zdążymy do tej pory doprowadzić dom do porządku.

. - Jaki dom? Tony zatrzymał się gwałtownie i spojrzał jej w oczy.

- Leonoro, przecież wiesz, że ta ogromna posiadłość jest o wiele za duża dla twoich rodziców. Czy nie moglibyśmy ich przenieść do czegoś mniejszego? O dwie mile stąd, przy drodze do Bath, można kupić cudowny mały domek. Każę gruntownie przebudować wasze rodzinne gniazdo, które stanie się wymarzoną rezydencją dla mnie... dla nas. Będę urządzał weekendy dla klientów i przyjaciół. Oczywiście kupimy też mieszkanie w Londynie, to nic trudnego. Mogę nawet sprawić ci samochód, żebyś mogła jeździć w tę i z powrotem, kiedy tylko zechcesz.

- Ty nie mówisz poważnie! - Leonora patrzyła na niego ze zdumieniem. - Chyba nie zamierzasz wyrzucać rodziców z ich własnego domu? On należy do rodziny od ponad dwustu lat. Ojciec nie przeżyłby wyprowadzki. Mama ma tu wiele przyjaciółek i też kocha ten dom. Żartowałeś, prawda?

Tony otoczył ją ramieniem.

- Kochanie, to nie jest żart, to jedyne rozsądne wyjście. Czy tego nie widzisz? Twój ojciec nie cieszy się najlepszym zdrowiem, prawda? Przypuśćmy, że umrze... Co wtedy zrobi twoja matka? Będzie prowadzić ten dom samodzielnie? Przecież ona nie miałaby pojęcia, jak się do tego zabrać...

- Zapominasz o mnie - przerwała mu. - Ten dom należy również do mnie i nie zamierzam go opuszczać. A ojciec już niemal całkiem wyzdrowiał. Nie słyszałeś, co mówił lekarz?

- Wiejski lekarz domowy! - zaśmiał się drwiąco Tony. - On powie wszystko, co jego zdaniem zechcą usłyszeć pacjenci.

- To nieprawda. Jak możesz mówić takie rzeczy? Przyspieszyła kroku, ale dogonił ją i chwycił za rękę.

- Kochanie, przepraszam, że cię rozgniewałem. Nie powiem już na ten temat ani słowa, ale musisz wiedzieć, że twój ojciec jest w trudnej sytuacji materialnej. Co będzie, jeśli bank zażąda zwrotu pożyczki hipotecznej?

Leonora zatrzymała się gwałtownie.

- Pożyczki? Nic nie wiedziałam...

- A dlaczego, twoim zdaniem, udało mu się tak długo przetrwać w tym domu?

- Skąd o tym wiesz?

- Mój zawód wymaga, żebym wiedział o takich rzeczach. Poza tym staram się dbać o twoje interesy.

- Ach, rozumiem. - Zrobiło jej się przykro, że go podejrzewała, choć sama nie wiedziała o co. - Przepraszam, Tony. Nie mówmy o tym więcej. Kiedy ojciec poczuje się lepiej, załatwi wszystkie sprawy. Nie ma na świecie takiej siły, która skłoniłaby moich rodziców do wyprowadzki z tego domu, a ja całkowicie podzielam ich stanowisko!

- Kochanie, przecież mamy się pobrać, czy zapomniałaś? - spytał z uśmiechem, a ona, widząc jego dobry humor, całkowicie się rozpogodziła.

Ruszyli w drogę powrotną. Kiedy zbliżali się do bramy posiadłości, minął ich samochód doktora Galbraitha. Ten pomachał im przyjaźnie ręką, zastanawiając się, dlaczego irytuje go widok Leonory w towarzystwie narzeczonego. Pewnie dlatego, że nie podoba mi się ten facet, pomyślał i natychmiast zapomniał o całej sprawie.

Leonora miała wrażenie, że weekend mija zbyt szybko. Oczywiście, pobyt Tony'ego wiązał się dla niej z dodatkowymi obowiązkami. Już na samym początku ich znajomości oznajmił jej, że nie ma pojęcia o pracach domowych, gdyż mieszka w apartamencie z pełną obsługą i

od tej pory nawet się nie starał w niczym pomagać. Nie spodziewała się, że będzie ścielił łóżko lub zmywał naczynia, ale była nieco zdziwiona, gdy dawał niani do czyszczenia swoje buty. Nie miałyby mu też za złe, gdyby od czasu do czasu odniósł do kuchni tacę...

Była jednak pewna, że po ślubie sytuacja ulegnie poprawie, i że Tony będzie pomagał w prowadzeniu domu. Wyjechał w poniedziałek wczesnym rano. Leonora musiała wstać przed nim, by przygotować mu śniadanie. Tony beztrudnie zużył niemal cały zapas gorącej wody z bojlera i obudził wszystkich domowników.

- Przyjadę znowu, gdy tylko znajdę chwilę czasu - obiecał na pożegnanie. - Spędzimy wieczór poza domem. Może w Bath? Zjemy dobrą kolację i wybierzemy się na tańce.

Leonora chętnie wyraziła zgodę, pocałowała go serdecznie i poprosiła, by do niej od czasu do czasu dzwonił lub pisał.

- Pisał? Moja droga, ja nie mam na to czasu. - Uścisnął jej ramię i uśmiechnął się czarująco. - Tylko bądź grzeczna.

- Obiecuję ci, że będę się prowadzić nienagannie.

- Prawdę mówiąc, nie masz wielkiego wyboru - zawołał ze śmiechem, wskazując do samochodu.

W drodze powrotnej do Londynu przemyślał całą sprawę i postanowił zmienić taktykę. Nie wspominać więcej o wyprowadzce jej rodziców z rodzinnego domu, poczekać z tą sprawą aż do ślubu. Nie miał wątpliwości, że gdy Leonora zostanie jego żoną, bez trudu skłoni ją do uległości. Kilka tygodni wygodnej egzystencji, nowe stroje, nowe twarze, posiłki w dobrych restauracjach... Kiedy zakosztuje beztrudnego życia, z pewnością podzieli jego punkt widzenia. A on stanie się właścicielem rezydencji, która coraz bardziej mu się podobała.

Leonora, która nie podejrzewała go wcale o taką przebiegłość, wróciła do domu, podała rodzicom herbatę,

udobruchała poirytowaną nianię i poszła na strych, podejrzewając, że padający w nocy deszcz przedostał się przez szpary w dachu i zalał podłogę. Z przykrością stwierdziła, że jej obawy były słuszne.

ROZDZIAŁ TRZECI

W tym samym momencie, w którym Tony wsiadał do samochodu, doktor Galbraith otwierał drzwi swego domu. Został wcześniej rano wezwany na odległą farmę, stwierdził u pacjenta zawał serca i poczekał na karetkę, która zawiozła chorego do Bath. Następnie pojechał w ślad za nią do szpitala, upewnił się, że chory jest w dobrych rękach, i wrócił do domu.

Powrót do łóżka nie wchodził w rachubę, gdyż tego ranka miał przeprowadzić operację. Ruszył więc w stronę swego pokoju, położonego na pierwszym piętrze starego domu. Kiedy kładł dłoń na klamce, drzwi na końcu korytarza otworzyły się i stanął w nich szczupły, łysawy mężczyzna w średnim wieku.

- Dzień dobry, sir. Czy mogę panu podać filiżankę kawy?. Śniadanie będzie gotowe za pół godziny.

- To świetnie, Cricket. Umieram z głodu.

Cricket zniknął, a po chwili wrócił z kawą. Pracował u doktora Galbraitha już od wielu lat, prowadził mu dom, przygotowywał doskonałe posiłki, kontrolował pracę sprzątaczk. Krótko mówiąc, był prawdziwym skarbem.

James Galbraith wypił kawę, wykąpał się i ubrał, a potem zszedł na śniadanie. W małym salonie, w którym Cricket nakrył do stołu, było już jasno. Był to piękny, wygodnie umeblowany pokój, którego okna wychodziły na ogród. Duży salon, ozdobiony ogromnym, marmurowym kominkiem, używany był tylko podczas wielkich przyjęć. Po drugiej stronie holu mieściła się obszerna jadalnia, a tuż obok niej ulubiony pokój doktora - przestronny gabinet. Była to zbyt duża rezydencja dla samotnego mężczyzny, ale on lubił przestrzeń. Poza tym pokochał ten dom już przed kilku laty, gdy przyjechał z wizytą do swego przyjaciela, doktora Fleminga.

Po śniadaniu pojechał do położonej w centrum miasteczka niewielkiej przychodni. Zastał w niej wyjątkowo liczne grono pacjentów, oczekujących na jego poradę. Żaden z nich nie cierpiał na poważną chorobę, ale ich badanie zajęło mu niemal całe przedpołudnie. Rozpoczął więc wizyty domowe z pewnym opóźnieniem.

Był już o milę od miasteczka, kiedy zadzwonił zainstalowany w jego samochodzie telefon komórkowy. W głosie pani Crisp, recepcjonistki przychodni, wyczuł nutę niepokoju.

- Dzwoniła do nas przed chwilą pani Willer. Jej mąż pojechał na targ, a traktorzysta zatrudniony na ich farmie uległ poważnemu wypadkowi.

- Będę tam za jakieś dwadzieścia minut.

Nacisnął pedał gazu, pokonał ostry zakręt i zahamował gwałtownie, by nie wpaść na Leonorę, która szła środkiem drogi, prowadząc na smyczy Wilkinsa. Kiedy zatrzymał samochód i otworzył drzwi, zaczęła go przeproszać.

- Mniejsza o to - powiedział niecierpliwie. - Jest mi pani potrzebna. Na farmie Willerów doszło do wypadku. Nie ma tam nikogo, oprócz żony gospodarza i chłopca stajennego. Będę potrzebował pomocy. Czy może pani pojechać ze mną?

- Ale co zrobimy z psem?

- Niech wskakuje.

Otworzył drzwi, a pies, zadowolony z okazji do przejażdżki, natychmiast wskoczył na tylne siedzenie.

- Nie znam się dobrze na udzielaniu pierwszej pomocy, ale jestem silna - powiedziała, siadając obok lekarza. - Szłam właśnie do sklepu. Czy mogę zadzwonić do niani?

Wręczył jej telefon. Kiedy zapowiedziała niani, że będzie w domu później, usiadła wygodniej i zaczęła wyglądać przez okno, zastanawiając się, co zastaną po przyjeździe na farmę.

Gdy doktor zatrzymał samochód na zabłoconym podwórku, pani Willer natychmiast wybiegła na ich spotkanie.

- On leży tam, na wzgórzu. Siedzi przy nim chłopiec. Ja zeszłam na dół, żeby wskazać panu drogę. Jest w złym stanie. Kiedy wypadł z kabiny, jego noga dostała się pod traktor.

- Zaraz go obejrzymy - rzekł lekarz, podając Leonorze torbę. - Od jak dawna tam leży? Czy jest przytomny?

- Teraz tak, ale nie był. Uderzył głową...

Szybkim krokiem zaczęli wspinać się na strome zbocze. Leonora, choć była dobrym piechurem, z trudem nadążała za doktorem. Po przybyciu na miejsce stwierdzili, że traktor, jadąc pod górę, przewrócił się do tyłu. Ben, jego kierowca, wypadł z kabiny, ale jego nogę przygniótł do ziemi fragment metalowej obudowy.

- Czy bardzo pana boli? - spytał doktor Galbraith, a widząc, że Ben kiwnął głową, wyjął strzykawkę i zrobił mu zastrzyk znieczulający. Potem zmierzył jego tętno i pochylił się nad uwięzioną nogą. - Niech pani otworzy tę torbę i podaje mi narzędzia - polecił Leonorze. - A ty - zwrócił się do chłopca - przynieś cokolwiek, czym można kopać w ziemi.

Zabrał się do czyszczenia i bandażowania rany. Leonora, bliska omdlenia, podawała mu kleszcze, sondę, jakieś groźnie wyglądające nożyce... Starła się odwracać wzrok, ale nie zawsze było to możliwe. James Galbraith przez cały czas przemawiał do Bena, starając się dodać mu otuchy.

- Zaraz wykopimy ziemię spod nogi, żeby zmniejszyć nacisk. Zatelefonuję po karetkę i ekipę ratunkową. Niedługo będzie pan już wygodnie leżał w szpitalu.

Leonora miała wrażenie, że przebywają na tym wzgórzu już od wielu godzin, ale kiedy zerknęła na zegarek, stwierdziła, że od ich przybycia upłynęło zaledwie piętnaście minut. Gdy chłopiec przyniósł łopaty, Galbraith wziął od niego jedną z nich, a potem odwrócił się do Leonory.

- Niech pani przykłąknie obok stopy Bena. Proszę jej nie dotykać, ale przygotować się do jej trzymania.

Natychmiast wykonała jego polecenie. Przewrócony traktor wisiał tuż nad jej głową. Starła się nie myśleć o tym, co jej grozi w razie jego nagłego przechyłu. Po kilku minutach kopania między nogą Bena a obudową traktora pojawił się niewielki prześwit. Żeby jednak wyjąć nogę, trzeba było podnieść i przesunąć ciężką maszynę. Doktor Galbraith zajął miejsce Leonory i osłonił nogę rannego swym ramieniem, nie myśląc o tym, co mu grozi w razie obsunięcia się ziemi.

- Niech pani zaprowadzi panią Willer do domu i pomoże jej spakować rzeczy Bena - polecił Leonorze. - Włóżcie do niej wszystko, co może mu być potrzebne w szpitalu.

Słaniając się na nogach, zeszły na dół, znalazły torbę i wrzuciły do niej wszystkie niezbędne rzeczy. Właśnie kończyły pakowanie, kiedy usłyszały wycie karetki i syrenę straży pożarnej. Gdy wróciły na miejsce wypadku, kręcił się tam już tłum ludzi. Strażacy podnieśli traktor, a doktor Galbraith starannie zbadał nogę, a potem kazał położyć Bena na noszach i znieść do karetki.

Kiedy w końcu znów zeszli na dół i wsiedli do samochodu, drzemiący spokojnie Wilkins otworzył na powitanie jedno oko.

- Bardzo dziękuję, Leonoro - rzekł James Galbraith, zapalając silnik. - Pani pomoc okazała się niezwykle cenna. Ben zostanie zawieziony do szpitala w Bath; muszę tam pojechać i porozmawiać z dyżurnym lekarzem.

Połączył się telefonicznie z jej domem i wytłumaczył niani przyczyny opóźnienia, a potem podał słuchawkę Leonorze. Stara kobieta była wyraźnie przerażona.

- Czy nic się pani nie stało, panno Leonoro? Co mam powiedzieć rodzicom?

- Nianiu, jestem zupełnie zdrowa, ale wrócę do domu trochę później. Powiedz im to, ale nie podawaj szczegółów.

- Wiem, że pod opieką doktora jest pani bezpieczna.

Kiedy dotarli do szpitala, lekarz pospiesznie wszedł do budynku, a ona zaczęła spacerować z psem. Była głodna i ubłocona, ale czuła się szczęśliwa. Mimo skromnych umiejętności stanęła na wysokości zadania, a nawet zasłużyła na podziękowanie. Doktor Galbraith wyszedł po chwili ze szpitala. Wilkins, który miał już wyraźnie dość spacerów, szybko wskoczył na tylne siedzenie.

- Co będzie z Benem? - spytała Leonora.

- Jest teraz na sali operacyjnej. Dyżurny chirurg twierdzi, że uratuje jego nogę.

- Och, to świetnie! - zawołała z ulgą. - Ale co będzie z pacjentami, którzy na pana czekają? Przecież dopiero zaczął pan wizyty domowe, prawda?

- Żaden nie wymaga pilnej interwencji, więc zleciłem pani Crisp, aby przesunęła ich na inne terminy. Wieczorem muszę przeprowadzić operację, więc odwiedzę chorych po południu. Teraz wrócimy do Pont Magna, doprowadzimy się do porządku i spróbujemy coś zjeść. - Ponownie wziął do ręki telefon. - Cricket? Zaprosiłem na lunch pannę Crosby. Będziemy za jakieś pół godziny. Musimy się najpierw umyć. Zrób coś szybkiego.

- Kto to jest Cricket? - spytała. - Poza tym nie musi mnie pan zapraszać na lunch. Proszę zatrzymać samochód, kiedy będziemy przejeżdżali obok naszej bramy.

- Cricket prowadzi mi dom. Bez niego nie dałbym sobie rady. I proszę, żeby przyjęła pani moje zaproszenie. Chciałbym choć w ten sposób wynagrodzić pani stracone przedpołudnie. Poza tym musi się pani umyć i oczyścić z błota.

Nie był to zbyt pochlebny dla niej argument, ale była ciekawa, jak wygląda jego dom, więc przewyciężyła swe opory i roześmiała się głośno.

- Dziękuję, będzie mi bardzo miło - rzekła poważnym tonem. - Ale co zrobimy z Wilkinsem? Czy ma pan psa?

- Wilkins będzie mile widziany - odparł. - Owszem, mam psa, ale moja siostra wypożyczyła go na tydzień czy dwa, bo jej mąż musiał wyjechać. Cricket ma dwa koty, ale Wilkins nie zrobi im chyba nic złego. Wydaje się bardzo łagodny.

- To prawda, a w dodatku lubi koty.

Cricket, który otworzył im drzwi, uścisnął dłoń Leonory i natychmiast poczuł do niej sympatię. Choć miała ciemną plamę na policzku i brudne ręce, nadal była piękna. Widząc jej zabłoconą spódnicę, poprowadził ją do łazienki.

- Cricket, pożycz pannie Crosby jakiś szlafrok - zawołał doktor Galbraith. - I spróbuj jakoś usunąć to błoto ze spódnicy.

- Oczywiście, sir. Czy mogę podać lunch za dziesięć minut?

- Naturalnie. Jeśli nie zejść do tej pory na dół, zaprowadź pannę Crosby do salonu. Dziękuję!

Wbiegł po dwa stopnie na górę, a Cricket przyniósł Leonorze szlafrok i otworzył jej drzwi łazienki.

- Jeśli da mi pani tę spódnicę, panno Crosby, postaram się, żeby wyglądała jak nowa - powiedział z uśmiechem. - I zajmę się pani psem.

Podziękowała mu, a kiedy odszedł, umyła starannie twarz i ręce, upięła włosy, włożyła szlafrok i wyjrzała na korytarz. Doktor Galbraith czekał już na nią w holu. Obok niego leżał zadowolony Wilkins.

- Chodźmy coś zjeść - zaproponował gospodarz. - Lunch jest gotowy, a ja muszę za godzinę jechać do przychodni.

Posłusznie poszła z nim do salonu, którego okna wychodziły na piękny ogród. Stół, ustawiony obok kominka, był już nakryty i unosił się nad nim cudowny zapach. Leonora podwinęła rękawy szlafroka i usiadła, by skosztować zupy z karczochów.

Wreszcie Cricket przyniósł tacę z nakryciem do kawy. Leonora, wiedząc, że doktor Galbraith się spieszy, nie usiłowała zabawić go konwersacją. Gdy tylko dopili kawę, wstała od stołu.

- Pójdę się ubrać, bo wiem, że musi pan jechać. Bardzo dziękuję za doskonały lunch.

- Obaj z Wilkinsem poczekamy na panią w ogrodzie - odparł. Był zachwycony jej bezpretensjonalnym zachowaniem. Doszedł do wniosku, że Tony Beamish jest szczęściarzem, choć wcale nie zasługuje na tak uroczą narzeczoną.

Cricket dokonał cudu; na starannie wyprasowanej spódnicy nie było ani śladu błota. Leonora doszła do wniosku, że chciałaby mieć służącego, który dbałby o jej wygodę. Zrozumiała też, dlaczego doktor Galbraith nie jest żonaty - po prostu nie potrzebował opieki. Ubrała się pospiesznie, podziękowała Cricketowi i ponownie wsiadła do samochodu.

- Proszę nas wysadzić w miasteczku - poprosiła.

- Odwiozę panią do domu - odparł, a ona siedziała przez chwilę w milczeniu, szukając tematu do rozmowy.

- Jak się nazywa pański pies? - spytała w końcu.

- Tod.

- To dość niezwykle imię.

- Nie ja je wybrałem - odparł z uśmiechem. - Nazwała go tak pewna młoda dama, z którą łączą mnie więzy sympatii.

Aha, pomyślała Leonora. Więc jednak ma przyjaciółkę. Wyobraźnia podsunęła jej wizerunek drobnej, delikatnej,

niebieskookiej dziewczyny, pięknie i modnie ubranej.. Uznała, że tylko taka kobieta mogłaby nadać psu tak absurdalne imię.

- Ach, rozumiem - mruknęła i pomachała przyjaźnie pani Pike, która stała akurat przed swoim sklepem. - Bardzo dziękuję, panie doktorze - dodała chłodnym tonem, gdy po chwili zatrzymali się przed jej domem. - Mam nadzieję, że nie będzie pan aż tak bardzo zajęty przez resztę dnia. I że ten biedny człowiek poczuje się lepiej.

Doktor Galbraith otworzył jej drzwi samochodu i przez chwilę patrzył na nią, jakby się nad czymś zastanawiając.

- To ja pani dziękuję - mruknął w końcu. - I zawiadomię panią o jego stanie.

Gdy weszła do domu, zastała rodziców w salonie.

- Kochanie, gdzieś ty się podziewała? Byliśmy w bardzo trudnej sytuacji. Niania musiała wszystko zostawić i pójść do miasteczka po zakupy. Po co ten lekarz zabierał cię z sobą? Niania mówiła o jakimś wypadku na farmie Willerów, ale jestem pewna, że mogli poradzić sobie bez ciebie. - Leonora otworzyła usta, by się wytłumaczyć, ale matka nie dopuściła jej do głosu. - Dzwonił Tony. Był zawiedziony, że cię nie ma. Chyba powinnaś natychmiast wszystko mu wyjaśnić.

- Czy powiedział, o co mu chodzi?

- Nie, kochanie. Gawędziliśmy przez chwilę i w końcu zapomniałam go o to spytać.

Leonora poszła do kuchni i zastała tam nianię, która przygotowywała kolację.

- Przykro mi, nianiu, ale doktor Galbraith nie chciał słuchać moich wymówek.

- I miał zupełną rację. To był poważny wypadek, prawda? Nie prosiłby pani o pomoc, gdyby jej nie potrzebował. A co się właściwie stało?

Leonora zrelacjonowała jej wydarzenia minionego przedpołudnia, nie szczędząc przy tym słów zachwyty nad domem doktora Galbraitha.

- Hm - mruknęła niania. - A jaki jest ten jego służący?

- Bardzo miły. Wyczyścił i wyprasował moją spódnicę. Nie masz pojęcia, jaka była brudna.

- Przykro mi z powodu Bena, ale mam nadzieję, że szybko wróci do zdrowia, a Willerowie nie zrobią mu krzywdy. Jeśli nie będzie mógł wypełniać dotychczasowych obowiązków, na pewno dadzą mu lżejszą pracę.

Leonora podkrađa ciasteczko z talerza, który niania postawiła właśnie na stole.

- Utyje pani! - ostrzegła ją niania. - Dzwonił ten młody człowiek z Londynu. Był wściekły, że pani nie ma. Może to i dobrze...

- Co masz na myśli?

- To, że zakochani mężczyźni powinni zabiegać o swoje kobiety. Od czasu do czasu trzeba znikać im z oczu.

- Nianiu, ty przewrotna istoto, gdzie nauczyłaś się postępować z mężczyznami? - spytała ze śmiechem Leonora.

- Mniejsza o to! Kieruję się po prostu zdrowym rozsądkiem! Nie ma powodu, żeby panienka stale siedziała w domu, czekając na jego telefon! - Wskazała palcem talerz ciasteczek. - One są na podwieczorek, a ja nie upiekę następnej porcji, panno Leonoro! Niech panienka pójdzie się przebrać. Wolę się nie zastanawiać, co o pani pomyślał ten lekarz!

Niania byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, co myśli o Leonorze doktor Galbraith. Nigdy nie przepadała za Tonym, którego uważała za spryciarza nie zasługującego na względy Leonory. Nie wyniknie z tego nic dobrego! - pomyślała, układając ciasteczka na talerzu.

Leonora, pamiętając o radzie niani, nie odezwała się do Tony'ego, choć kilkakrotnie miała ochotę to zrobić. Zamierzała właśnie położyć się do łóżka, kiedy zadzwonił telefon. Tony nadal był wściekły.

- Gdzieś ty była? Po co jechałaś do tego wypadku i dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie zaraz po powrocie?

- No cóż, nigdy nie wiem, gdzie cię szukać. To był paskudny wypadek. Traktor przewrócił się i przygniół człowieka z farmy Willerów...

- Oszczędź mi szczegółów - przerwał niecierpliwie Tony.
- Nie rozumiem, dlaczego musiałaś brać w tym wszystkim udział.

Wy tłumaczyła mu to, opuszczając niektóre szczegóły, bo znów zaczął się irytować.

- To absurdalne - stwierdził w końcu. - Ten lekarz musi być skandalicznie niekompetentny.

- Nie mów głupstw! - krzyknęła i usłyszała jego głośny oddech. Nigdy dotąd tak się do niego nie odezwała.

- Mam dużo pracy - warknął - a ty jesteś roztrzęsiona. Mam nadzieję, że będziesz miała w przyszłości dość zdrowego rozsądku, żeby trzymać się z dala od tego człowieka.

Odłożył słuchawkę bez pożegnania, przekonany, że Leonora napisze do niego z samego rana list, w którym będzie go błagać o wybaczenie. Ona jednak nie miała takiego zamiaru. Kochała go, ale nie była zaślepiona. Tony zachował się niewybaczalnie. Czyżby nie całkiem go dotychczas poznała? Nie przepadała za doktorem Galbraithem, a on też chyba nie bardzo ją lubił; stale wydawał jej polecenia i krytykował wygląd. Ale Tony nie miał prawa traktować jej w taki sposób.

Nadal ze zgrozą wspominała wypadek, ale była z siebie zadowolona. Poczuli się po raz pierwszy w życiu naprawdę

użyteczna. Postanowiła pojechać do Bath i odwiedzić Bena. Gdyby potrzebował pomocy, jej ojciec mógł wykorzystać swe znajomości i pomóc mu na przykład w znalezieniu pracy.

Wybrała się do niego w dwa dni później. Kupiła kwiaty oraz pudełko czekoladek i znalazła w szpitalu oddział, na którym leżał. Powitał ją pogodnym uśmiechem, choć nadal był blady, a jego noga spoczywała na wyciągu.

- Poskładali ją - oznajmił z triumfem w głosie. - Mówią, że kuracja potrwa dość długo, ale będę mógł chodzić.

- Jak długo pan tu będzie?

- Jeszcze przez jakiś czas. Muszę się na nowo uczyć chodzenia.

- Tak, oczywiście... Czy wróci pan na farmę?

- Pan Willer z pewnością mnie przyjmie.

- Myślę, że powinien pan wystąpić o odszkodowanie.

- On też tak mówi. Obiecał, że się tym zajmie. - Na jego twarzy pojawił się wyraz skrepowania. - Bardzo dziękuję za pomoc, panno Crosby. Doktor Galbraith powiedział mi, ile pani zawdzięczam. On też spisał się doskonale. Regularnie mnie odwiedza; zna chirurga, który składał moją nogę.

- To miło z jego strony. Czy pan czegoś potrzebuje? Pieniądzy? Książek? Czegoś z odzieży?

- Dziękuję, panienko, niczego mi nie potrzeba. Opiekują się mną bardzo troskliwie, a pielęgniarki są ładne i miłe.

Posiedziała przy nim godzinę, powtarzając mu miejscowe plotki, a gdy nadjechał wózek z podwieczorkiem, szybko się pożegnała, obiecując, że odwiedzi go ponownie za kilka dni.

Szła korytarzem w stronę klatki schodowej, gdy nagle ujrzała zmierzającego w jej kierunku Jamesa Galbraitha. Towarzyszyli mu trzej mężczyźni w białych kitlach. Na ich twarzach malowało się skupienie. Kiedy się zbliżył, powiedziała uprzejmie „dzień dobry” i zamierzała iść dalej, ale on chwycił ją delikatnie za rękę.

- Czy była pani u Bena? To jest doktor Kirby, który go operował. - Odwrócił się do jednego z mężczyzn. - A to jest panna Crosby, która pomagała mi na miejscu wypadku.

Leonora uścisnęła dłonie wszystkich nieznanym i nie chcąc ich zatrzymywać, zaczęła się żegnać.

- Jak pani tu dotarła? Odwiozę panią...

- Dziękuję, przyjechałam samochodem. - Kiwnęła im głową, zdając sobie sprawę z tego, że nie zachowuje się tak bezpośrednio jak zwykle. Widząc rozbawienie na twarzy Jamesa Galbraitha, zaczerwieniła się niespodziewanie, co jeszcze bardziej ją speszyło.

W dwa dni później, podczas śniadania, matka podniosła wzrok znad listów, które nadeszły tego ranka,

- Chcę z tobą pomówić o naszym przyjęciu, Leonoro. Myślałam jednak o dwunastu osobach. Czy nie uważasz, że to szczęśliwa liczba? Zaprosimy pułkownika Howesa z Norą, państwa Willoughby, Meredithów, pastora i doktora Galbraitha. Tony musi też przyjechać. Urządzimy przyjęcie w sobotę; to powinno ułatwić mu sytuację.

- Mamo, jeśli Tony ma przyjechać na przyjęcie, to chyba lepiej nie zapraszać doktora Galbraitha. Oni nie bardzo się lubią...

- Nonsens, kochanie, oczywiście, że się lubią. Już go zaprosiłam. - Zerknęła ukradkiem na córkę. - Nie miałam wczoraj nic do roboty, więc wypisałam zaproszenia, a twój ojciec wręczył je dziś rano listonoszowi.

- Na kiedy? - spytała Leonora. - I czym ich nakarmimy?

- Kochanie, dlaczego ujmujesz to w taki dziwny sposób? Na przyszłą sobotę. Tony będzie miał dość czasu, żeby zwolnić się z pracy. Myślałam, że możemy im podać krem z pieczarek. Willer przysłał nam kilka bażantów. Powiedział, że to coś w rodzaju podziękowania za twoją pomoc. Trzeba będzie podać do nich jakieś jarzyny, a niania wymyśli pyszny

deser. Na szczęście w piwnicy zostało jeszcze trochę czerwonego wina. - Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie. - A więc jak widzisz, nie przysporzy nam to wielu kłopotów ani nie narazi na większe wydatki. Jeśli położymy na stole najlepsze srebra i te koronkowe podstawki pod talerze, a ty skomponujesz ładny bukiet, zastawa będzie wyglądała bardzo elegancko.

- Masz rację, mamó - przyznała Leonora, choć zdawała sobie sprawę z kosztów. Kawa, śmietanka, żurawiny do sosu, co najmniej dwie butelki sherry, whisky, dodatki do bażantów, deser... Wiedziała, że nie mogą sobie na to pozwolić, ale było już za późno, by tłumaczyć to matce. Sprzątnęła więc ze stołu i poszła do kuchni, by naradzić się z nianią w sprawie deseru. Tony zatelefonował w połowie tygodnia i oznajmił, że przyjedzie w sobotę po południu. Wyraził też nadzieję, że jej ojciec czuje się na tyle dobrze, by znieść trudy przyjęcia.

- On już nie jest tak młody, jak mu się wydaje - rzekł ostrzegawczym tonem. - Musimy na niego uważać!

Był w tak dobrym humorze, że Leonora, nie chcąc go popsuć, nie wspomniała o zaproszeniu doktora Galbraitha. Postanowiła jedynie posadzić ich przy stole możliwie jak najdalej.

Odwiedziła ponownie Bena, mając nadzieję, że nie spotka w szpitalu Jamesa Galbraitha, ale kiedy go tam nie zastała, poczuła się zawiedziona. Ben szybko zdrowiał. Chodził już o kulach i był poddawany fizjoterapii. Zostawiła mu trochę owoców i kilka gazet, a potem wróciła do domu.

Nadeszła sobota, a wraz z nią masa nowych zajęć. Leonora skomponowała ozdobny bukiet, wypolerowała stół, ułożyła podstawki pod talerze, wyczyściła stare srebra. Matka, widząc gotowe nakrycie, westchnęła z dumą.

- Być może jesteśmy biedni, ale mamy się czym pochwalić - stwierdziła z satysfakcją. - Kochanie, stół wygląda naprawdę doskonale.

Po podwieczorku Leonora poszła do swego pokoju, by przejrzeć zawartość szafy. Jej stroje pochodziły z dobrych sklepów, gdyż kupowano je w czasach, kiedy jeszcze byli zamożni. Nadal prezentowały się nie najgorzej, ale były żenująco niemodne. W końcu zdecydowała się na srebrnoszarą aksamitną suknię z długimi rękawami. Szybko się wykąpała i ubrała; Tony zapowiedział, że przyjedzie na drinka nieco wcześniej, a ona miała jeszcze coś do zrobienia w kuchni.

Zeszła na dół, zawinęła rękawy, włożyła fartuszek i zaczęła ubijać pianę do deseru. Miała nadzieję, że wieczór będzie udany; matka już była zadowolona, ojciec czuł się o wiele lepiej, więc jeżeli przyjedzie Tony...

Przyjechał. Stał w drzwiach i patrzył na nią, marszcząc brwi. Uśmiechnęła się do niego i podeszła, by go powitać, ale on nie zmienił wyrazu twarzy.

- Moja droga, czy musisz spędzać cały czas w kuchni? Goście przyjdą już za dziesięć minut, a ja spodziewałem się, że powitasz mnie w salonie jako elegancka narzeczona.

- Tony, nie gadaj głupstw - powiedziała przekonana, że on żartuje. - Oczywiście, że muszę być w kuchni. Niania nie poradzi sobie ze wszystkim. I tak pracuje za dwie osoby. A ty idź i naley sobie drinka. Rodzice za chwilę zejdą.

Odwrócił się bez słowa, a ona nie zwróciła na to większej uwagi. Pomyślała przelotnie, że nie pocałował jej na powitanie i nie powiedział nawet, jak cieszy się na jej widok. Ale w tym momencie najważniejsze było dla niej to, czy przyjęcie będzie udane. W dziesięć minut później weszła dyskretnie do salonu, w którym byli już wszyscy goście, i zaczęła się z nimi witać. Doktor Galbraith, który miał na sobie

smoking, rozmawiał z Norą. Uśmiechnął się do niej i wyciągnął rękę, a ponieważ Tony nie spojrzał nawet w jej kierunku, odwzajemniła jego uśmiech.

- Cieszę się, że pan przyszedł. Czy pański pies jest już w domu?

- Tak, siostra go przywiozła. Musiała jednak natychmiast wracać, bo jej najmłodszy syn ma świnkę.

- Co za pech! Choć podobno lepiej przejść tę chorobę w dzieciństwie. My zapadliśmy na nią równocześnie, prawda, Noro? Miałyśmy wtedy po sześć czy siedem lat...

Galbraith przyjrzał jej się uważnie i doszedł do wniosku, że musiała być czarującą dziewczynką o wielkich oczach.

- No cóż... - wyjąkała, czując na sobie jego spojrzenie. - Muszę chyba jeszcze zajrzeć do kuchni i zobaczyć, co się dzieje z zupą.

- Ona jest niezwykła - rzekła Nora po jej odejściu. - Prowadzi ten wielki dom właściwie o własnych siłach. Pomaga jej tylko niania.

Gdy Leonora weszła do kuchni, stwierdziła z radością, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Pani Sims, mieszkanka Pont Magna, która od czasu do czasu zatrudniała się u nich jako sprzątaczką, trzymała już w rękach wazę. Bażanty były niemal upieczone.

Wróciła więc do salonu i szeptem powiadomiła matkę, że może poprosić gości o przejście do jadalni. Potem usiadła obok Tony'ego i zerknęła na panią Sims, która stawiała na stole wazę z zupą. Na razie wszystko idzie dobrze...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Już przy zupie rozwinęła się ożywiona rozmowa. Leonora, słuchając pułkownika Howesa, który rozwodził się nad urokami prawdziwego hinduskiego curry, nie zwróciła uwagi na to, że Tony, siedzący po jej drugiej stronie wcale z nią nie rozmawia. Kiedy się do niego odwróciła, gawędził akurat z Norą.

Spojrzała na drugi koniec stołu. Doktor Galbraith siedział obok pani domu i słuchał jej monologu, a sir William i pastor rozmawiali o łowieniu ryb. Kiedy sprzątnięto talerze po zupie, ojciec zajął się krojeniem bażantów. Wino rozwiązało już języki, więc wszyscy przyjaźnie wymieniali żartobliwe uwagi.

- Czy zostaniesz do poniedziałku? - spytała Leonora narzeczonego i uśmiechnęła się do niego, nie czując już żalu. Wiedziała, że musi być zmęczony po ciężkim tygodniu i że nigdy nie jest zachwycony, kiedy ona zajmuje się pracami domowymi.

- To chyba nie ma sensu, skoro zamierzasz cały czas spędzać w kuchni.

- Ależ wcale nie zamierzam. Będziemy mogli pójść na długi spacer, który pomoże ci zapomnieć o szarości Londynu.

- Londyn o tej porze roku jest cudowny. Jak się miewa twój ojciec? Wygląda na zmęczonego.

- Tak uważasz? - spytała, marszcząc brwi. - Czuje się o wiele lepiej...

- Przed wyjazdem porozmawiam z tym waszym doktorem. Chcę się upewnić, że twój ojciec jest właściwie leczony.

- To zbyteczne - odparła, nakładając sobie porcję brukselki. - Ojciec jest w dobrych rękach.

- Mam wrażenie, że ten facet rzucił na ciebie jakiś urok. Przecież on wygląda na zupełnego ignoranta!

W oczach Leonory zabłyśły iskierki gniewu.

- Nie masz prawa tak mówić. Czy potrafiłbyś wyciągnąć spod traktora człowieka, który ma zmiażdżoną stopę?

Odwróciła się do pułkownika i wszczęła z nim ożywioną rozmowę o planowanej przebudowie budynku miejskiej rady. James Galbraith, który obserwował ją uważnie, odpowiadając monosylabami na perory pani domu, zastanawiał się, co jest przedmiotem jej sporu z Tonym.

Po bażantach podano deser, a ponieważ lady Crosby była osobą o konserwatywnych poglądach, zaprowadziła panie do salonu. Mężczyźni zostali w jadalni, pijąc porto, które sir William kazał przynieść z piwnicy.

Leonora wymknęła się, by podać kawę. Kiedy weszła z tacą do salonu, byli tam już wszyscy panowie. Tony siedział między Norą a panią Willoughby na jednej z antycznych kanap. Usiadła więc obok pastora i słuchała jego opowieści. Po chwili przyłączył się do nich James Galbraith, a zaraz potem podszedł ojciec.

- Chodź ze mną do mojego gabinetu - powiedział do pastora. - Pokażę ci nowy błysk, na który łowię pstrągi.

Odeszli, a Leonora została z doktorem sama.

- Bardzo miły wieczór, panno Leonoro.

- Dziękuję.

- Czy mi się zdawało, że między panią a panem Beamishem doszło do sprzeczki? - spytał z uśmiechem. - I czy nadal się pani na niego gniewa?

- Prawdę mówiąc, poszło o drobiazg - odparła, nie zwracając uwagi na jego bezpośredniość. - Kiedy przyjechał, byłam akurat w kuchni, i miał mi za złe, że nie czekam na niego w salonie.

- Rozumiem.

- Powinna być o tym pomyśleć, ale musiałam ubić krem. Myślałam, że mi to wybaczy. Czy pan miałby o to pretensje?

- Nie, ponieważ krem był najmocniejszym punktem kolacji - oświadczył i odstawił filiżankę. - Ale chyba poszło też o coś innego, prawda?

- Owszem. On uważa, że ojciec nie wygląda dobrze. - Zaczerwieniła się. - Zastanawiał się, czy...

- Czy jestem kompetentnym lekarzem, prawda?

- Bardzo mi przykro. Nikt z nas w to nie wątpi. Wszyscy panu ufamy i uważamy za świetnego fachowca.

- Dziękuję - mruknął, kryjąc uśmiech. - Nie zamierzam się przejmować jego wątpliwościami.

- On powiedział, że chce z panem porozmawiać.

- To świetnie. Będzie miał doskonałą okazję, bo właśnie do nas podchodzi. Proszę pójść porozmawiać z kimś innym - zaproponował półgłosem i zwrócił się do Tony'ego. - Podobno chciał pan ze mną pomówić? - spytał uprzejmie.

- Niech pan posłucha. Nie jestem zachwycony stanem sir Williama... - James Galbraith milczał. - On nie jest już młodym człowiekiem - ciągnął Tony.

Lekarz przechylił lekko głowę. Wyglądał, jakby cierpliwie słuchał wywodów swego pacjenta. Twarz Tony'ego pociemniała z gniewu.

- To absurd, żeby sir William mieszkał nadal w tej wielkiej rezydencji! Powinien przenieść się do jakiegoś mniejszego domu, w którym można będzie mu zapewnić odpowiednią opiekę. - Dostrzegł zdziwione spojrzenie lekarza. - Och, wiem, że Leonora o niego dba, ale jej możliwości są ograniczone przez brak pieniędzy. Gdyby sprzedał ten dom lub przekazał go Leonorze, mógłbym rozpocząć jego remont.

- Doprawdy? - spytał uprzejmie lekarz. - I zamieszkałby pan w nim? Czy panna Leonora...?

- Oczywiście - przerwał mu opryskliwie Tony. - Mielibyśmy rzecz jasna mieszkanie w Londynie, ale moglibyśmy przyjeżdżać tu na weekendy, zapraszać gości. -

Urwał, zdawszy sobie sprawę, że zbyt dużo mówi. - Czy nie mógłby pan przekonać sir Williama, że powinien się przenieść? Znaleźć jakieś inne lokum, bardziej odpowiadające jego wiekowi i trybowi życia?

- Nie - odparł spokojnie lekarz. - Sir William mieszka tutaj, to jest jego dom, dom jego przodków. On go kocha. Jeśli zamierza pan odrestaurować tę rezydencję, to przecież nie ma powodu, dla którego on i lady Crosby nie mogliby tu nadal mieszkać. Przecież jest tu wystarczająco dużo miejsca.

- Nie sądzę, żeby była to pańska sprawa - rzekł Tony ze złością.

W tym momencie przyłączył się do nich pastor. Tony doszedł do wniosku, że rozmowa nie przebiegła po jego myśli, więc udał się na poszukiwanie Leonory. Kiedy ją znalazł, przekazał jej przebieg wymiany zdań z lekarzem.

- No cóż - powiedziała - moim zdaniem on ma rację. Nie widzę powodu, dla którego ojciec miałby opuszczać ten dom. To niemądry pomysł. Taka przeprowadzka złamałaby mu serce.

A poza tym byłaby niezwykle trudna i męcząca. Nie masz pojęcia, co on przechowuje na strychach. - Dostrzegła jego irytację, więc dodała szybko: - To miło z twojej strony, że się o niego troszczysz. Wszyscy to doceniamy. Kiedyś odziedziczę ten dom. Jeśli zechcesz go wtedy odrestaurować, nie będę miała nic przeciwko temu.

- Moja droga, do tej pory będziemy pewnie już oboje bardzo starzy - odparł posepnie Tony. - Ten dom wymaga gruntownej przebudowy, ale nie można jej przeprowadzić, dopóki mieszkają w nim twoi rodzice.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, a on zdał sobie sprawę z tego, że się zagalopował. Wziął ją więc za rękę i posłał jej czuły uśmiech.

- Kochanie, nie myślmy o tym teraz - poprosił serdecznym tonem. - Jak sama mówisz, twoi rodzice są tu szczęśliwi. To cudowna stara rezydencja, wymarzone miejsce na przyjęcia. Muszę przyznać, że spędziłem miły wieczór, a kolacja była doskonała. Widzę, że będę bardzo dumny z mojej żony.

Jego słowa stępiły ostrze niepokoju, jaki zaczęła odczuwać. Zapomniała o swych podejrzeniach i zaczęła mu opowiadać o przygotowaniach do przyjęcia.

- Więc jak sam widzisz, nie kosztowało nas to prawie nic - zakończyła z uśmiechem, a on ponownie uścisnął jej rękę.

James Galbraith, obserwujący ich z drugiego końca salonu, doszedł do wniosku, że nie rozumie, dlaczego tak rozsądna dziewczyna jak Leonora ulega wdziękom takiego człowieka jak Tony. Czuł instynktownie, że jest zbyt uczciwa i prostolinijna, by być jego żoną. Że kiedy po ślubie odkryje jego prawdziwą naturę, będzie się starała lojalnie dotrzymać obietnicy małżeńskiej, a to z pewnością złamie jej serce.

Nie mógł pojąć, dlaczego sir William nie dostrzega powagi sytuacji. Przecież musi widzieć, że Tony'emu zależy tylko na tym, by dostać w swe ręce tę piękną starą rezydencję i wykorzystać ją dla własnych celów. Zmarszczył brwi. Przyszło mu do głowy, że może właśnie ten dom jest jedyną przyczyną, dla której Tony zamierza poślubić Leonorę. Po chwili wzruszył ramionami, dochodząc do wniosku, że to nie jego sprawa.

Kiedy wrócił do domu, służący otworzył mu drzwi i spytał, czy przyjęcie było udane.

- Ta panna Crosby jest bardzo miła - dodał z przejęciem. - Rozmawiałem właśnie przypadkiem z panną South, jej starą nianią. Wiem od mej, że ta młoda dama jest niezwykle utalentowana i że niedługo wychodzi za mąż.

- Ty stary plotkarzu - zganił go James z uśmiechem. - Owszem, spędziłem bardzo przyjemny wieczór, a teraz zamierzam zabrać Toda na spacer. Możesz już iść spać.

Po spacerze ułożył psa w koszyku, położył się i po chwili spał kamiennym snem. Leonora, choć bardzo zmęczona, nie mogła jednak zasnąć. Tony zasiał w jej sercu ziarno z wątpienia. Być może miał rację, mówiąc, że ojciec czułby się lepiej w mniejszym domu, ale co zamierzał zrobić z jej rodzinną rezydencją po ich ślubie? Dlaczego tak mu zależy na jej odnowieniu? Przecież wielokrotnie powtarzał, że ze względu na pracę musi mieszkać w Londynie.

Poprawiła poduszkę i próbowała się uspokoić." Postanowiła porozmawiać z Tonym, ustalić datę ślubu i omówić wszystkie plany na przyszłość. Zamknęła oczy i w końcu zapadła w nerwowy sen. Rano nie miała okazji do rozmowy z narzeczonym; gdy tylko wrócili z kościoła, poszedł z ojcem do biblioteki i przesiedział tam aż do lunchu. Gdy podano kawę, zaproponowała mu spacer, ale stwierdził, że musi już wracać do Londynu.

- Nie masz pojęcia, jaki stos papierów zalega moje biurko - rzekł z napięciem w głosie. - Ale mimo to przyjechałem na przyjęcie. Było bardzo udane. Wpadnę, gdy tylko pozwoli mi na to czas.

- Tony, myślę, że powinniśmy w końcu poważnie porozmawiać - oświadczyła Leonora. - O ślubie, o tym, gdzie będziemy mieszkać i... och, o wielu rzeczach, których nie jestem pewna.

- Oczywiście. Zrobimy to, kiedy znowu tu przyjadę. - Pochylił się, by ją pocałować. - Jesteś kochaną dziewczyną i na pewno będziemy bardzo szczęśliwi, I bardzo bogaci.

- Nie zależy mi na bogactwie, Tony...

- Po ślubie zmienisz zdanie. Polubisz piękne stroje, wizyty w teatrze i spotkania z odpowiednimi ludźmi.

- Odpowiedni ludzie mieszkają również w naszym miasteczku, Tony! - oznajmiła chłodnym tonem.

- Oczywiście, oczywiście - odparł, całując ją ponownie. - Zadzwoń do ciebie wieczorem.

Minęło kilka dni i Leonora wybrała się do sklepu pani Pike. Na jej widok właścicielka wychyliła się zza lady.

- Czy ci ludzie, którzy mieszkają w zajeździe, nie sprawiają pani kłopotu, Leonoro? - spytała konfidencjonalnie.

- Nie miałam pojęcia, że jacyś ludzie przyjechali do naszego miasteczka. Dlaczego mieliby sprawiać mi kłopot?

- Oni wypytują wszystkich o wasz dom. Chcą się dowiedzieć, ile ma pokoi i jak wielki jest teren, który do niego przylega. Kiedy właściciel zajazdu, pan Bowles, spytał ich, dlaczego nie pójdą z tym do sir Williama, natychmiast nabrali wody w usta. Powiedzieli mu, że powoduje nimi tylko ciekawość. Ale co wieczór siedzą w barze i wypytują. Czy pani ojciec nie myśli przypadkiem o sprzedaży tego domu?

- Bynajmniej. Co to za ludzie?

- Och, zwyczajni faceci z miasta, jeśli pani mnie rozumie. Noszą krawaty i nie ruszają się nigdzie bez parasola. Są też bardzo wygadani.

- Czy nie wie pani, skąd przyjechali? Chodzi mi o to, czy jakiś pośrednik nie wbił sobie do głowy, że mój ojciec chce sprzedać dom. Nie mogę tego zrozumieć. Może najlepiej będzie, jeśli do nich pójde i powiem, że zaszła jakaś pomyłka.

- Och, niech pani tego nie robi! Od razu by się domyślili, kim pani jest! Proszę zostawić to mnie. Wpadnę dziś do tego baru z moim George'em. To bystry facet; na pewno się czegoś dowie.

- To bardzo miłe z pani strony, pani Pike. I proszę o tym nikomu nie wspominać, dobrze? Mogę panią zapewnić, że mój ojciec nie zamierza opuścić tego domu. Wpadnę jutro rano.

Ruszając w drogę powrotną, zaczęła żałować, że nie ma nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o tej sprawie. Jej rodzice wpadliby w panikę, a niania wyruszyłaby zapewne natychmiast do zajazdu i zażądała od tych ludzi wyjaśnień. Szkoda, że nie jestem w lepszych stosunkach z doktorem Galbraithem, pomyślała z żalem. To jest człowiek, któremu mogłabym zaufać.

Martwiła się przez całą resztę dnia i pół nocy. Nazajutrz oznajmiła domownikom, że pani Pike zamówiła dla niej specjalny gatunek ciasteczek i zaraz po śniadaniu wyruszyła do miasteczka. W sklepie było kilku klientów, więc musiała chwilę poczekać. Kiedy w końcu zrobiło się pusto, pani Pike najwyraźniej nie miała ochoty na rozmowę.

- Czy mąż się czegoś dowiedział? - spytała Leonora. - Czy chodzi o coś, czego nie chce mi pani powiedzieć?

- No... tak, panienko. Proszę pamiętać, że to tylko plotki. W dzisiejszych czasach nie można nikomu wierzyć. No więc, to jest tak. Ci panowie przyjechali tu, żeby obejrzeć wasz dom, ocenić jego wartość i zbadać, czy ziemia nadaje się do podziału na działki budowlane... - Widząc, że Leonora gwałtownie wciąga powietrze, urwała, ale po chwili mówiła dalej. - Ten dom ma być przerobiony na rezydencję dla biznesmenów, różnych bogatych milionerów. Przykro mi to mówić, panienko, ale przysłał ich pan Beamish.

Leonora zbladła, ale zachowała spokój.

- Bardzo jestem państwu wdzięczna za pomoc - wyjąkała. - Nie ulega wątpliwości, że zaszło jakieś nieporozumienie. Ale dzięki państwu uda się je wyjaśnić. Mój ojciec z pewnością nic nie wie o całej sprawie, ale rozmawiam o tym z panem Beamishem. Musi istnieć jakieś wytłumaczenie.

- No właśnie, tak też sobie pomyśleliśmy. Pan Beamish wydaje się takim miłym dżentelmenem...

- To prawda - mruknęła Leonora. - Muszę już iść. Chcę jeszcze popracować w ogrodzie - dodała z wymuszonym uśmiechem i wyszła ze sklepu.

Mijała właśnie przychodnię, kiedy wyszedł z niej doktor Galbraith. Powitała go skinieniem głowy i zamierzała iść dalej, ale on dogonił ją po kilku krokach.

- Co się stało? - spytał. - Nie, proszę mi na razie nic nie mówić. Zawiozę panią do siebie. Tu stoi samochód.

Wiedząc, że wybuchnie płaczem, jeśli tylko otworzy usta, pokornie wsiadła do auta i nie odzywała się przez całą drogę. Wilkins, który wskoczył na tylne siedzenie, wyczuwał chyba zdenerwowanie swej pani, bo czule oblizywał jej kark.

- Zrób nam kawę - polecił lekarz Cricketowi. - Wypijemy ją w salonie. Wilkins może iść do ogrodu i bawić się z Todem.

Cricket zerknął na twarz Leonory i, mrużąc coś pod nosem, pospieszył do kuchni, a doktor Galbraith wprowadził swego gościa do salonu. Drzwi do ogrodu były otwarte. Po trawniku biegał duży pies nieokreślonej rasy, który na widok swego pana z radosnym szczekaniem wpadł do pokoju.

- To jest Tod - wyjaśnił doktor Galbraith. - Na pewno zaprzyjaźni się z Wilkinsem. Jeśli ma pani ochotę, może się pani teraz rozplakać.

- Nie mam ochoty - odparła z godnością i wybuchnęła głośnym płaczem. Szlochała i pociągała nosem przez dłuższą chwilę, nie zdając sobie sprawy, że opiera głowę na ramieniu gospodarza i zalewa łzami jego marynarkę.

- Bardzo pana przepraszam - wymamrotała chwilę później. - Nie wiem, co mi się stało. Ja... prawie nigdy nie płaczę.

- To błąd. Nic tak dobrze nie rozładowuje napięć. A teraz niech pani usiądzie, wytrze twarz i powie, co się stało.

Podał jej dużą, białą chustkę do nosa, kazał Cricketowi postawić tacę z kawą na stoliku, a potem podszedł do

otwartych drzwi i przez chwilę obserwował psy. Leonora, doceniając jego dyskrecję, wytarła tymczasem łzy i poprawiła fryzurę.

- Już mi przeszło - powiedziała w końcu. - Oddam panu chusteczkę, kiedy tylko ją wypiorę.

Nalał kawę do filiżanek i dał psom po herbatniku.

- Chyba się polubiły - zauważyła, chcąc skierować rozmowę na neutralny grunt.

- Oczywiście. To inteligentne zwierzęta. - Usiadł naprzeciwko niej, ale nie patrzył jej w oczy. - Niech pani zacznie od początku, Leonoro.

- To jakiś absurd. To chyba nieporozumienie.

- Jeśli tak, to może uda nam się odkryć jego źródło - zapewnił ją łagodnie.

Spojrzała na niego i doszła do wniosku, że wygląda na człowieka, który potrafi rozwiązać każdy problem.

- No więc... - zaczęła niepewnie, a potem dość chaotycznie zrelacjonowała mu przebieg wydarzeń. - Nie potrafię pojąć, dlaczego Tony przysłał tu tych ludzi. Jestem pewna, że nie rozmawiał o tym z ojcem. Tata nie zechciałby nawet wysłuchać takiego planu, żeby budować domy na naszej ziemi... Gdzie mielibyśmy wtedy zamieszkać? To wszystko nie ma sensu!

Lekarz dostrzegał sens działania Tony'ego, ale zachował swe podejrzenia dla siebie.

- Czy nie powinna pani pojechać do Londynu i porozmawiać z narzeczonym? - spytał. - Zażądać wyjaśnień? Być może istnieją jakieś okoliczności, o których pani nie wie. Być może on chce zrobić pani niespodziankę. Kiedy mu pani powie, że niepokoją panią krążące pogłoski, z pewnością odkryje karty. Skoro macie wziąć ślub, to przypuszczam, że jego zamysł jest korzystny dla pani i dla całej rodziny.

W głębi duszy absolutnie nie był tego pewien, gdyż Tony Beamish wydawał mu się człowiekiem zdolnym do wszystkiego. Ale nie chciał go potępiać, nie znając bliżej okoliczności sprawy.

- Chyba ma pan rację - odparła po chwili namysłu. - Pojadę do Londynu. Nie uprzedzę go o mojej wizycie. Mam ciotkę, która mieszka w dzielnicy Chelsea. Powiem wszystkim, że wybieram się do niej i odwiedzę go po południu, kiedy skończy pracę.

- To chyba dobry pomysł - przyznał. - Ja też muszę być jutro po południu w Londynie, więc chętnie panią tam zawiozę. Jeśli zechce pani wrócić ze mną, też będzie mi bardzo miło.

- Serdecznie dziękuję, ale chyba zatrzymam się tam na dwa lub trzy dni. Ale... jestem bardzo wdzięczna za pańską pomoc.

- Odstawiła filiżankę. - Chyba pójdę już do domu.

- Radziłbym pani najpierw umyć twarz - dodał. - Cricket zaprowadzi panią do łazienki. Potem panią odwiozę.

Kiedy wróciła do salonu, była blada, ale już spokojna. Podziękowała Cricketowi za kawę i wsiadła wraz z Wilkinsem do samochodu.

- Będę wyjeżdżał koło drugiej - oznajmił James Galbraith, gdy dotarli na miejsce. - Zabiorę panią spod domu. Czy jest pani pewna, że chce się zobaczyć z Tonym?

- Oczywiście - odparła, kiwając głową. - Jeśli tego nie zrobię, będę się nadal zamartwiała całą sprawą, prawda?

- Jest pani bardzo rozsądną kobietą - rzekł z uśmiechem. Gdy odjechał, powoli weszła do domu, zastanawiając się, czy jego banalny komplement sprawił jej przyjemność i czy ma ochotę uchościć w jego oczach za „rozsądną kobietę”.

Rodzice wcale nie byli zaskoczeni, kiedy oznajmiła, że zamierza odwiedzić ciotkę Marion.

- To świetny pomysł, kochanie - zawołała z radością matka.

- Zmiana otoczenia dobrze ci zrobi, a Marion uwielbia gości. Możesz też zobaczyć się z Tonym. Tylko nie siedź w Londynie za długo. Pamiętaj, że niebawem ma się odbyć kiermasz, a ja obiecałam pani Willoughby, że weźmiemy w nim udział. Główną organizatorką jest Lydia Dowling, więc musisz z nią porozmawiać.

Kiedy Leonora powiedziała niani, że zamierza odwiedzić ciotkę, starszka spojrzała na nią badawczo.

- Jakoś nagle przyszedł panience ten pomysł do głowy. Chce się panienka zobaczyć z tym panem Beamishem, prawda?

- No cóż, chyba tak. Nianiu, dlaczego go nie lubisz?

- Każdy ma swoje sympatie i antypatie - odparła niania wymijająco, pochylając się nad patelnią. - Może kiedyś go polubię. A może on po ślubie trochę się zmieni.

Pakując walizkę, Leonora zastanawiała się, co powinna zabrać. Zamierzała zobaczyć się z Tonym, a wiedziała, że po przyjeździe do ciotki nic będzie zapewne miała czasu się przebrać. Musiała też wziąć ze sobą suknię, bo starsza pani była osobą staromodną i zawsze przebierała się do kolacji.

W końcu spakowała szarą dżersejową sukienkę i buty na wysokich obcasach, Miała zamiar odbyć podróż w tweedowym kostiumie i mokasynach. Nie były całkiem nowe, ale pochodziły z dobrej firmy. Jej torebka i rękawiczki prezentowały się doskonale. Miała na koncie skromną sumę odziedziczoną po babce i przeznaczoną na czarną godzinę, postanowiła więc wstąpić nazajutrz rano do miasteczka i zrealizować czek...

Doktor przyjechał po nią punktualnie. Wszedł do domu i rozmawiał przez chwilę z państwem Crosby, a potem zniósł

walizkę Leonory do samochodu. Ostrożnie dojechał bocznymi drogami do autostrady, a potem przyspieszył.

- Czy pani ciotka wie o tej wizycie?

- Tak, dzwoniłam do niej wieczorem. Ona jest bardzo gościnna i towarzyska. Może jej nie być w domu, kiedy przyjadę, ale ma wspaniałą gospodynię, która pracuje u niej od wieków. Powiedziała, że mogę zostać, jak długo zechcę.

- Czy może mi pani podać jej numer telefonu? Zadzwoń, kiedy będę wyjeżdżał... gdyby zechciała pani wrócić ze mną.

- To bardzo miłe z pana strony. Nie sądzę, żebym zatrzymała się w Londynie dłużej niż dzień lub dwa. Jeśli Tony będzie miał czas, może odwiezie mnie do domu... - Nie zastanawiając się, dodała: - Jestem pewna, że zaszło jakieś nieporozumienie.

- Zawsze istnieje jakieś wytłumaczenie, choć czasem trzeba go długo szukać. Czy zobaczy się pani z nim dziś wieczorem?

- Tak, pojedę do jego mieszkania. Nigdy jeszcze tam nie byłam. Ma małe mieszkanie obok Curzon Street.

- To bardzo dobry adres - stwierdził, unosząc lekko brwi.
- Wnoszę z tego, że jest zamożny.

Rozmawiając o Tonym, Leonora odniosła nagle wrażenie, że cała ta zagadkowa sprawa staje się mało ważna.

- Zastanawiam się, czy moja reakcja nie jest dowodem głupoty... - powiedziała z namysłem.

- Nie. Jeśli istotnie wszystko polega na nieporozumieniu, to trzeba jak najszybciej je wyjaśnić. Po pięciu minutach rozmowy będzie się pani pewnie śmiała z własnych podejrzeń.

- Jestem pewna, że ma pan słuszność. Czy będzie pan w Londynie bardzo zajęty?

- Muszę być na jakimś medycznym seminarium, a poza tym chcę wysłuchać kilku odczytów i odwiedzić paru przyjaciół. I może wybiorę się też do teatru.

Pomyślała, że tak przystojny i sympatyczny człowiek musi mieć wielu przyjaciół i jest mile widziany na każdym przyjęciu. Spotka się zapewne również z dziewczyną, która nadała takie śmieszne imię jego psu. Potem zawstydziła się własnej dociekliwości, uznając, że nie ma prawa wtrącać się do jego prywatnych spraw.

Po obu stronach uliczki, przy której mieszkała jej ciotka, stały niewielkie, lecz eleganckie domy. Doktor Galbraith zatrzymał się przed ozdobną bramą i otworzył drzwi samochodu. Potem wyjął z bagażnika jej walizkę i pożegnali się.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie musiał pan nadmiernie nadkładać drogi.

- Proszę zadzwonić, a ja poczekam, aż ktoś otworzy. Kiedy po chwili w drzwiach domu ukazała się gospodyni ciotki, Leonora uśmiechnęła się i przekroczyła próg. Pani Fletcher powitała ją bardzo serdecznie.

- Pani musiała wyjść, ale kazała mi zaprowadzić panienkę do pokoju i podać podwieczorek. Wróci koło szóstej.

Leonora poprawiła makijaż w ładnej sypialni z oknami na piękny ogródek, a potem wypijała herbatę w wytwornym saloniku. Ciotka była bezdzietną wdową. Odziedziczyła po kochającym mężu spory majątek, pozwalający jej na dostatnie życie. Mieszkała w pięknym domu, otoczona antycznymi meblami, i spędzała czas na przyjęciach i brydżu z przyjaciółmi. Była osobą życzliwą i serdeczną. Rzadko widywała sir Williama, swego znacznie starszego brata, ale nadal łączyły ich dobre stosunki.

Wróciła do domu tuż po podwieczorku. Uściskała Leonorę serdecznie i spytała o powód jej niespodziewanej wizyty.

- Oczywiście bardzo się cieszę, że cię widzę, moja droga, ale to do ciebie zupełnie niepodobne. Czy stało się coś złego?

Leonora wtajemniczyła ją w powody swego przyjazdu, pomijając dyskretnie niektóre niemiłe szczegóły.

- Ach tak, to jasne, że musicie porozmawiać. Cała ta sprawa wydaje mi się absurdalna, ale wiem, jak to bywa w małych miasteczkach. Ktoś z pewnością coś przekręcił.

Leonora kiwnęła głową. Opinia ciotki dodała jej nieco odwagi. Kiedy skończyły wczesną kolację, oznajmiła, że wybiera się do mieszkania Tony'ego.

- Teraz? Czy nie powinnaś uprzedzić go telefonicznie?

- Nie, chyba tego nie zrobię. Jeśli wpadnę niespodziewanie i spytam go, co się dzieje, będzie musiał od razu mi wszystko wyjaśnić. Mam nadzieję, że rozumiesz moje motywy.

Marion rozumiała je dobrze. Nie była wielką entuzjastką Tony'ego, więc uznała, że bratanica postępuje słusznie.

- Weź taksówkę, kochanie - poradziła.

Gdy taksówka stanęła przed domem, w którym mieszkał Tony, Leonora wysiadła, zapłaciła kierowcy i rozejrzała się po okolicy. Była to elegancka ulica, po obu stronach której stały rezydencje i wytworne kamienice czynszowe. Tony powiedział jej, że mieszka na pierwszym piętrze, więc podchodząc do bramy, uniosła wzrok, jakby spodziewając się zobaczyć go w oknie. Portier spytał do kogo się wybiera, a potem zaproponował, że zadzwoni do pana Beamisha, by ją zaanonsować.

- Wolę, żeby pan tego nie robił - powiedziała z uśmiechem. - Chcę mu sprawić niespodziankę.

Weszła po schodach i zapukała do drzwi, na których dostrzegła tabliczkę z nazwiskiem Tony'ego. Otworzył jej jakiś mężczyzna o tak odpychającym wyglądzie, że

natychmiast poczuła do niego antypatię. Mimo to spytała uprzejmie, czy może zobaczyć się z panem Beamishem.

- Proszę mu powiedzieć, że przyszła Leonora Crosby - dodała, wchodząc do zawieszonych obrazami przedpokoju.

Pod ścianami ustawione były stoły, a na nich wielkie wazy z kwiatami. Wnętrze wydało jej się nieco przeładowane, ale doszła do wniosku, że za jego wystrój odpowiada pewnie służący Tony'ego. Usiadła na krześle i czekała. Po kilku minutach drzwi, za którymi zniknął mężczyzna, otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Tony.

- Co, na miłość boską, cię tu sprowadza? - spytał tak agresywnym tonem, że radość, jaką odczuwała na myśl o tym spotkaniu, całkowicie się ulotniła. Musiał to dostrzec, bo dodał spokojniej: - Kochanie, co się stało? Czy chodzi o twojego ojca?

- Witaj, Tony - odparła, nie wstając z krzesła. - Nie, ojciec czuje się dobrze. Chcę z tobą porozmawiać.

- Moja droga, czy nie mogłaś zadzwonić? - Opanował rozdrażnienie i schylił się, by ją pocałować. - Mam gości, wydaję dziś kolację... - Zerknął na jej tweedowy kostium i mokasyny. - Ty nie jesteś odpowiednio ubrana...

- Przyjdę więc jutro - oznajmiła, wstając z krzesła. - Czy będziesz wieczorem w domu? Około szóstej? Nie zajmę ci wiele czasu, bo zamierzam zjeść kolację z ciocią Marion.

- Mam nadzieję, że mnie rozumiesz, Leonoro - wyjąkał nerwowo Tony. - To są ważni ludzie... ze świata biznesu...

- Do zobaczenia jutro - powiedziała, idąc w kierunku drzwi. Zeszła po schodach, wręczyła portierowi stosowny napiwek i poprosiła, by wezwał taksówkę. Kiedy nadjechała, wsiadła do niej i pograżyła się w myślach. W jej głowie panował kompletny chaos. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Tony, który przecież twierdził, że ją kocha, był tak oburzony

jej niespodziewaną wizytą. W ciągu tych kilku chwil dostrzegła w nim obcego człowieka, którego dotąd nie знаła.

Kiedy zjawiała się u ciotki, służąca poinformowała ją, że pani Thurston nie ma w domu. Wymawiając się zmęczeniem, poszła więc wcześniej do łóżka, ale zasnęła dopiero nad ranem. Przywoływała w pamięci wszystkie szczegóły krótkiej wizyty u Tony'ego, a ponieważ wierzyła w jego miłość - przecież musiał ją kochać, skoro pragnął się z nią ożenić - usiłowała znaleźć coś, co usprawiedliwiłoby jego zachowanie. W końcu doszła do wniosku, że musiał być zmęczony, a ona sama jest sobie winna, bo powinna była uprzedzić go o swych odwiedzinach. Z tą myślą wreszcie zasnęła.

Kiedy obudziła się rano i spojrzała z perspektywy czasu na wydarzenia poprzedniego dnia, była już całkowicie przekonana o swojej winie. Nie miała też najmniejszych wątpliwości, że Tony wyjaśni jej w przekonujący sposób powody, dla których w miasteczku pojawili się ludzie wypyujący o dom jej ojca.

Spędziła przedpołudnie w magazynie Harrodsa, w którym ciotka przymierzała różne kapelusze, a po lunchu grała z nią i jej przyjaciółkami w brydża. Nie przepadała za kartami, ale ponieważ brakowało czwartego, nie bardzo mogła odmówić.

Na szczęście grano o drobne stawki, a jej sprzyjało szczęście, więc gdy przerwano partię, by zasiąść do podwieczorku, była bogatsza o niewielką sumę. A kiedy wypła herbatę, uznała, że nadszedł czas, by ponownie odwiedzić narzeczonego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy dotarła do mieszkania Tony'ego, ponury mężczyzna wprowadził ją tym razem do salonu, którego okna wychodziły na ulicę. Salon był pięknie umeblowany, ale ona prawie tego nie zauważyła, bo Tony powitał ją z wyciągniętymi ramionami.

- Kochanie, jak się cieszę, że cię widzę! Przepraszam za wczorajszy wieczór. Od czasu do czasu muszę się spotkać z kolegami na kolacji, żeby omówić ważne sprawy. Usiądź i powiedz, co cię do mnie sprowadza. - Podeszedł do stołu i zerknął na nią przez ramię. - Czego się napijesz? Ja... ja muszę niedługo wyjść. Powiedziałaś, że zjesz kolację z ciotką, więc nie odwoływałem spotkania.

- Oczywiście, oczywiście - odparła obojętnym tonem, choć jego słowa sprawiły jej ból. Odniosła wrażenie, że Tony przeznaczył dla niej krótką chwilę pomiędzy ważniejszymi spotkaniami. Odmówiła drinka i postanowiła nie być małostkowa. Tony usiadł naprzeciw niej w wygodnym fotelu.

- To wspaniałe - rzekł z uśmiechem. - Często wyobrażałem sobie, że jesteś tu ze mną. A teraz powiedz mi, o co chodzi.

Przekonana, że cała afera jest burzą w szklance wody, przeszła wprost do sedna sprawy.

- W hotelu zamieszkali jacyś dwaj mężczyźni, którzy wypytują o naszą rezydencję i park. Dowiedziałam się, że robią to na zlecenie kogoś, kto chce kupić całą posiadłość, a potem odrestaurować dom i podzielić ziemię na działki budowlane. Powiedziano mi też, że tym zleceniodawcą jesteś ty,

Tony przestał się uśmiechać. Odwrócił od niej wzrok, a na jego twarzy pojawił się wyraz chłodnej furii.

- A więc to prawda... - powiedziała cicho. - Dlaczego, Tony? Powiedz mi dlaczego, a może cię zrozumiem.

Tony zmusił się do pogodnego uśmiechu.

- Posłuchaj, kochanie. Dom twojego ojca wymaga remontu. Mury pękają, instalacja wodna jest fatalna, drzwi są popękane, podłogi nierówne, a okna wypaczone i nieszczelne. Chcę go odnowić i zmodernizować; nowe łazienki, dywany, zasłony, tapety, wszystko od początku do końca. My zamieszkamy na najwyższym piętrze, na które prowadzić będzie osobna klatka schodowa. Resztę przeznaczymy na centrum biznesu. Nie masz pojęcia, ilu moich klientów przyjeżdża z Japonii, z Bliskiego Wschodu czy z kontynentu. Zamierzam organizować tam dla nich ważne konferencje. Zadbam o to, żeby ten dom przynosił dochód.

Park także jest obecnie bezużyteczny, ale kiedy podzieli się go na działki budowlane, może być wart mnóstwo pieniędzy. A miasteczko skorzysta na rozbudowie. To będą spore parcele, a ludzie, którzy je kupią, przywiozą duże pieniądze. Oczywiście zadbam o to, żeby twoi rodzice mieli odpowiadający ich potrzebom dom, który ta wasza niania będzie mogła prowadzić o własnych siłach. Postaram się też zapewnić twojemu ojcu odpowiednią pozycję materialną.

Leonora nie wierzyła własnym uszom. Gniew odebrał jej mowę. Był on na tyle silny, że pod jego wpływem zapomniała o tym, iż cały jej świat wali się w gruzy.

- Czy po to właśnie chciałeś się ze mną ożenić? - spytała cicho. - Po to, żeby wcielić w życie ten plan?

Tony, zwiedziony jej spokojną reakcją, zdobył się na nonszalancki ton.

- No cóż, muszę przyznać, że to był jeden z powodów.

- Z pewnością bez trudu znajdziesz inną dziewczynę, której starzy rodzice mieszkają w starym domu - powiedziała wstając, a potem zdjęła pierścionek i położyła go na stole. - Nie wyjdę za ciebie, Tony. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć, a jeśli nie odwołasz tych ludzi i nie zrezygnujesz z tych

projektów, zwrócę się do adwokata. Jesteś podły, bezwzględny i chciwy. Dziwię się, że nie zauważyłam tego wcześniej.

Gdy ruszyła w kierunku drzwi, chwycił ją za rękę.

- Kochanie, nie możesz odejść w taki sposób. Jesteś po prostu wzburzona i zaskoczona. Przemyśl całą sprawę jeszcze raz. To doskonały plan, który przyniesie ci wiele korzyści. Będziesz miała wszystko, czego tylko zapragniesz.

- Ja pragnę tylko jednego - odparła, odwracając się do niego. - Chcę mieszkać w Pont Magna wśród przyjaciół i ludzi, których znam od urodzenia.

- Przecież mnie kochasz...

- Myślałam, że tak jest, ale widzę, że się myliłam. Skłoniła mu się lekko i wyszła z pokoju. Kiedy służący otworzył jej drzwi, zeszła po schodach i poprosiła portiera, by wezwał taksówkę. Gdy dotarła do domu ciotki, była tak blada, że kierowca spytał, czy nic jej nie dolega i odjechał dopiero wtedy, gdy go zapewniła, iż czuje się doskonale. To samo powiedziała pani Fletcher, która otworzyła jej drzwi i zaprowadziła ją wprost do salonu.

Przy kominku siedziała jej ciotka, a przy oknie stał James Galbraith. Gdy weszła, oboje spojrzeli na nią uważnie. Stała bez słowa w drzwiach, wiedząc, że jeśli tylko otworzy usta, wybuchnie płaczem. Ale oni najwyraźniej to zrozumieli.

- Usiądź, Leonoro - powiedziała ciotka. - Pani Fletcher zaraz poda kawę. Jestem pewna, że chętnie się napijesz.

Leonora dotarła do fotela, ale przez dłuższą chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Skąd pan się tu wziął, doktorze? - spytała w końcu.

- Zadzwoń, żeby spytać, czy nie zamierza pani wrócić ze mną do Pont Magna, a pani Thurston zaproponowała, żebym poczekał na panią tutaj.

- Och, rozumiem. To bardzo uprzejme z pana strony.

- Czy chce pani już wracać do domu? Leonora zerknęła pytająco na ciotkę.

- To chyba doskonały pomysł - odparła pani Thurston. - Możesz być pewna, że doskonale cię rozumiem, moja droga. Nie musisz mi nic mówić.

- Dziękuję, ciociu Marion. Istotnie, chciałabym jak najprędzej znaleźć się w domu. To znaczy... postanowiłam nie wychodzić za Tony'ego, więc nie mam powodu, żeby zostawać dłużej w Londynie. Bardzo ci dziękuję za gościnę... Chyba nie masz mi za złe tak nagłej zmiany planów?

- Ależ moja droga, oczywiście, że nie! Pij kawę, póki jest gorąca, a pani Fletcher spakuje tymczasem twoją walizkę. Powinnaś dotrzeć do domu przed nocą. Świetnie się składa, że pan doktor jedzie akurat dziś!

- Dwa dni w stolicy zupełnie mi wystarczą - stwierdził, a potem nastąpiła krótka wymiana zdań na temat wad i zalet Londynu.

Leonora piła kawę, z trudem powstrzymując łzy. W dziesięć minut później zdobyła się mimo wszystko na błądy uśmiech, ucałowała ciotkę i wsiadła do samochodu.

- Zadzwoń do mnie za dzień lub dwa, kiedy się wypłaczesz i uznasz, że mimo wszystko warto dalej żyć - powiedziała jej na pożegnanie pani Thurston.

- Jakaż to sympatyczna osoba - zauważył James Galbraith, uruchamiając silnik. - Czy chce pani zadzwonić do matki?

- Nie, chyba nie. Będzie się zastanawiać, dlaczego wracam tak nagle do domu i będzie zaniepokojona.

- Powinniśmy dojechać na miejsce przed nocą. Zatrzymamy się po drodze, żeby coś zjeść.

- Nie jestem głodna.

- Znam dobry mały pub tuż za Reading, obok autostrady - oznajmił, ignorując jej uwagę. - Będzie pani miała dość czasu,

żeby się do tej pory wyplakać. Zresztą, o ile pamiętam, jest tam przyćmione światło.

Leonora nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy szlochać.

- Widzę, że myśli pan o wszystkim - wymamrotała przez łyzy. - Ja jednak wolałabym jechać prosto do domu.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale niech się pani przez chwilę zastanowi. Gdy tylko przekroczy pani próg, wybuchnie pani płaczem i wprawi w panikę wszystkich domowników. A w dodatku nie będzie pani w stanie wytłumaczyć im, co się stało.

- Jak może pan mówić tak okropne rzeczy? - spytała z irytacją. - Chyba pan zapomina, że jestem dorosła i potrafię nad sobą zapanować.

- Zanim dojedziemy do tego pubu upłynie jeszcze trochę czasu - rzekł pojednawczym tonem. - Niech się pani zastanowi i ogłosi swoją decyzję w stosownym momencie.

Zamilkł, a ona pogрузzyła się w myślach. Po chwili utraciła resztki samokontroli i istotnie zaczęła płakać. Połykając łyzy, patrzyła w zapadającą za oknem ciemność. Miała wrażenie, że nigdy już nie odzyska pogody ducha. Kiedy mijali Reading, James wręczył jej chustkę do nosa.

- Czy wstępujemy do tego pubu? - spytał. Leonora wytarła starannie twarz i nos.

- Tak, chętnie, ale ja okropnie wyglądam i...

- Czy to ma znaczenie? Nie będzie tam nikogo znajomego, a miejscowi sączą swoje piwo i na nikogo nie zwracają uwagi. Mnie zaś pani wygląd wcale nie przeszkadza.

Zjechali z autostrady i po chwili dotarli do miasteczka. Przytulny pub był zatłoczony, lecz nikt nie spojrzał w ich kierunku. Znaleźli wolny stolik pod oknem i usiedli.

- Przyniosę coś do picia i zobaczę, co można zjeść - powiedział lekarz. - Toaleta jest po lewej stronie korytarza.

Mówił tak rzeczowym i przyjaznym tonem, jakby był jej starszym bratem. Leonora kiwnęła głową i po chwili stanęła przed lustrem. Poprawiła makijaż i poczuła się o wiele lepiej. Gdy wróciła na salę, James siedział przy stole, studiując kartę dań.

- Proszę wypić do dna to, co jest w tym kieliszku - polecił. - I nie chcę słyszeć żadnych protestów.

- Ale co to jest? - Nie odpowiedział na pytanie, więc powąchała zawartość kieliszka. - Koniak, prawda?

Przytaknął ruchem głowy.

- Z pewnością napiłaby się pani herbaty, ale zamówimy ją później. - Podał jej kartę. - Kiedy byłem tu ostatnim razem, jadłem pieczone kartofle z fasolą i bardzo mi to smakowało. Czy ma pani ochotę na zupę? Nie? W takim razie pójde złożyć zamówienie.

Podszedł do lady, zamienił kilka zdań z barmanem i po chwili wrócił do stolika.

- Niech pani wypije ten koniak i zacznie od początku. Proszę się nie martwić tym, że opowieść będzie nieco chaotyczna; chodzi o to, żeby pani jak najszybciej wyrzuciła to z siebie i wybrała jakąś linię postępowania.

- Mówi pan tak, jakby prowadził pan rubrykę porad sercowych w czasopiśmie dla kobiet...

- Boże uchroni, ale mam pięć sióstr. Można powiedzieć, że od dzieciństwa znam psychikę kobiet. Potrafię nawet udzielać dobrych rad, jeśli ktoś mnie o nie poprosi.

- Nie chciałam pana urazić. Przepraszam. Musi pan być bardzo miłym bratem.

- Dziękuję. A teraz, kiedy już ustaliliśmy, że jestem kompetentny, proszę mi powiedzieć, co się wydarzyło.

Leonora zrelacjonowała mu przebieg wydarzeń. Od czasu do czasu milkła, chcąc opanować drżenie głosu, ale zdołała przebrnąć przez całą opowieść bez dłuższych przerw. Kiedy

podano im jedzenie, stwierdziła ze zdziwieniem, że dopisuje jej apetyt. James nie odezwał się przez cały czas ani słowem. Milczał nawet wtedy, gdy urywała na chwilę, bo było jej bardzo trudno. Dopiero gdy podano herbatę, James zaczął mówić.

- Nie jest wykluczone, że ten Beamish pogna za panią do Pont Magna, padnie na kolana, będzie błagał o wybaczenie i zrezygnuje ze swoich planów.

Leonora spojrzała na niego chłodno.

- Sam powiedział, że jednym z powodów, dla których chciał się ze mną ożenić, była chęć zdobycia domu i ziemi. - Odetchnęła głęboko, pragnąc opanować złość. - Nie jestem nawet pewna, czy mnie kiedykolwiek kochał.

Doktor Galbraith cicho westchnął. Wiedział, że Leonora popełniłaby fatalny błąd, dając się przekonać, iż cała sprawa była wynikiem nieporozumienia. Nie miał też żadnych złudzeń co do Tony'ego, który od początku wydał mu się podejrzany. Ale nie miał prawa wtrącać się w jej sprawy. Była przecież dorosła i musiała samodzielnie decydować o swoich losach.

- Myślę, że powinna pani poczekać z ostateczną decyzją do następnego spotkania. - Widząc jej pełne wątpliwości spojrzenie, dodał: - Owszem, jestem pewny, że jeszcze go pani zobaczy. Tak czy owak, musi pani iść za głosem serca.

Długo obracała w myślach te słowa. Jego rada była rozsądna, obiektywna i bezstronna. Zamierzała się do niej zastosować, ale było jej trochę przykro, że nie włożył w nią odrobiny współczucia czy sympatii. W końcu doszła do wniosku, że potraktował ją w taki sam sposób, w jaki traktował proszących o poradę pacjentów.

Kiedy zajechali przed jej dom, paliły się w nim jeszcze światła. James wysiadł i otworzył jej drzwi samochodu.

- Wejść z panią - powiedział.

- Mam klucz - oznajmiła, otwierając drzwi. Weszli do holu i stanęli oko w oko z nianią.

- Muszę przyznać, że twój widok jest dla mnie niespodzianką - oznajmiła staruszka. - Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- Witaj, nianiu - rzekła Leonora. - Przepraszam, że cię tak zaskoczyłam. Doktor Galbraith przywiózł mnie do domu. Czy rodzice są w salonie?

Niania kiwnęła potakująco głową.

- Wam też przyda się filiżanka kawy - zauważyła nie bez racji. - Zaraz ją przyniosę.

Lady Crosby rozwiązywała krzyżówkę, a jej mąż czytał książkę. Wilkins, zachwycony powrotem Leonory, wybiegł na jej spotkanie.

- Leonora! - zawołała ze zdumieniem matka. - Nie spodziewaliśmy się ciebie tak prędko. Dlaczego nie zadzwoniłaś? Witam, doktorze. - Zmarszczyła brwi. - Czy Tony przyjechał z wami? Oboje z ojcem byliśmy przekonani, że to on przywiezie cię do domu. Czy się z nim widziałaś?

- Czy coś się stało? - spytał ojciec, odkładając książkę.

- Pojechałam do Londynu, żeby zobaczyć się z Tonym w pewnej sprawie - odparła Leonora. - Chciałam z nim porozmawiać o czymś, o czym... się dowiedziałam. My... to znaczy ja, doszłam do wniosku, że nie wyjdę za niego za mąż, więc zaręczyny zostały zerwane.

- Musi istnieć jakiś ważny powód - stwierdził ojciec.

- Owszem, ale poczekajmy z tym do rana. Doktor Galbraith był tak uprzejmy, że odwiózł mnie do domu.

- Jesteśmy panu bardzo wdzięczni - rzekł sir William. - Proszę usiąść. Niania zaraz poda nam kawę. Leonoro, poproś ją, żeby się pospieszyła. - Kiedy zniknęła za drzwiami, zwrócił się z niepokojem do lekarza. - Czy nic jej nie dolega? Mam wrażenie, że stało się coś ważnego.

- Jestem pewien, że w stosownym czasie Leonora wszystko panu wyjaśni. Ona wiele przeszła i jest bardzo zmęczona.

- Więc nie będziemy jej dziś dręczyć - stwierdził sir William, kiwając głową. - To miło, że pan ją przywiózł. Pan oczywiście wie, co się stało, prawda?

- Owszem, wiem - odparł, dając swym tonem do zrozumienia, że nie zamierza kontynuować tematu.

Wkrótce podano kawę, a po dziesięciu minutach zdawkowej rozmowy James zaczął się żegnać. Leonora odprowadziła go do drzwi.

- Raz jeszcze panu dziękuję - powiedziała, wyciągając do niego rękę. - Również za to, że zechciał pan mnie wysłuchać. Miał pan rację. Teraz, kiedy się wygadałam, potrafię o tym wszystkim rozsądnie myśleć. Chyba nie ma mi pan za złe mojego zachowania, prawda?

- Nie, bynajmniej - odparł, trzymając jej dłoń. - Jeśli kiedykolwiek będzie pani miała ochotę wypłakać się na czyimś ramieniu, proszę o mnie pamiętać.

Poklepał ją przyjaźnie i odjechał.

- Twój ojciec mówi, że jutro nam powiesz, co się stało - mruknęła matka lekko niezadowolona, gdy wróciła do salonu.

- Oznajmiasz nam nagle, że nie jesteś już zaręczona z Tonym... Musisz mieć jakiś ważny powód...

- Wystarczy, moja droga - przerwał jej mąż. - Leonora jest zmęczona; ma za sobą ciężki dzień. Powinna natychmiast pójść do łóżka. Rano, jeśli zechce, wszystko nam opowie.

Leonora poszła więc do łóżka i ku swemu zdziwieniu natychmiast zasnęła. Rano obudziła się w lepszym nastroju i postanowiła, że jeśli Tony zaproponuje jej kolejne spotkanie, stanowczo mu odmówi. Doszła do wniosku, że jeśli zobaczy go ponownie, nie będzie w stanie oprzeć się jego urokowi, choć wie dobrze, że w gruncie rzeczy nigdy jej nie kochał.

Uznawał ją po prostu za dodatek do domu i ziemi. Był przekonany, że jeśli okaże jej odrobinę serdeczności i zapewni piękne stroje oraz biżuterię, ona zgodzi się na wszystkie jego plany.

Weszła do kuchni, powitała nianię i postawiła na gazie imbryk z wodą. Potem otworzyła drzwi, aby wpuścić Wilkinsa i stała przez chwilę na progu, wdychając świeże, poranne powietrze.

- Co to za zmiany, o których słyszę od twojej matki? - spytała z zaciekawieniem niania.

- Jeszcze im niczego nie wyjaśniłam - odparła Leonora, wsypując herbatę do czajniczka. - Powiem ci wszystko, ale najpierw muszę wytłumaczyć to mamie i tacie.

Kiedy przy śniadaniu zrelacjonowała im swą rozmowę z Tonym, jej ojciec spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Ten dom? Moje ziemie? Mój park? Nie wierzę...

- Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, ale to prawda. Tony wszystko zaplanował. Ty i mama mieliście się przenieść do mniejszego domu...

- Nie mogłabym żyć w mniejszym domu - wtrąciła nerwowo lady Crosby. - Co zrobilibyśmy z fotelami i z sekretarzykiem? A inne meble? Przecież nie zmieścilibyśmy wszystkiego w małym domku. Jego propozycja jest oburzająca!

- Czy naprawdę myślisz, że to on przysłał tych ludzi do zajazdu? - spytał ojciec. - Trudno mi w to uwierzyć.

- Mnie też było trudno, ale tak jest. Powiedziałam mu, że ma natychmiast ich odwołać i że ty nigdy nie zgodzisz się na sprzedaż domu czy ziemi.

- Oczywiście, że nie, moja droga. Mam nadzieję, że ta cała sprawa nie naraziła cię na zbyt wielki wstrząs - dodał sir William z troską, chociaż nie był człowiekiem przesadnie wrażliwym.

- Każda kobieta byłaby przygnębiona, gdyby miała wyjść za mąż, a potem zobaczyła, że nic z tego nie będzie.

- A ja już planowałam wasze wesele - dodała lady Crosby, ocierając łzę. - Co sobie pomyślą wszyscy znajomi?

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła Leonora i wybiegła do kuchni, czując, że za chwilę wybuchnie płaczem.

Wypłakała się na ramieniu niani i w chaotyczny sposób wylała przed nią swój gniew i swoje rozczarowanie. Potem poczuła się lepiej i usiadła przy stole, by napić się herbaty.

- On się tu na pewno zjawi - oznajmiła niania. - Jeśli zależy mu na tym domu i ziemi, to nie podda się tak łatwo, lecz podejmie jeszcze jedną próbę. A jeśli ty go naprawdę kochasz, to wszystko mu wybaczysz. Po ślubie nawet sir William da się w końcu przekonać Tony'emu...

- Nie będę go słuchała. Nie chcę go widzieć.

- Będziesz musiała, moja droga. Przecież nie możesz uciec, kiedy tu przyjedzie. Poza tym do tej pory twój gniew minie i odkryjesz, że jesteś do niego naprawdę przywiązana.

- Nianiu, czy ty byłaś kiedykolwiek zakochana?

- Oczywiście, że tak. On był rybakim dalekomorskim i utonął dawno temu. Ale byliśmy w sobie zakochani i bardzo się lubiliśmy. Miłość wygasa, ale sympatia pozostaje.

- Nianiu, przepraszam, o niczym nie miałam pojęcia. Czy po jego śmierci nie chciałaś wyjść za mąż?

- Po co? Wiedziałam, że nigdy nie spotkam mężczyzny, którego można by porównać do mojego Neda. - Niania podniosła się z krzesła. - Idę teraz pościelić łóżka, a ty posprzątaj w salonie. Czy wybierasz się dziś do miasteczka?

- Tak, po zakupy. Nie mam pojęcia, co teraz robić.

- Sir William coś ci może doradzi.

Leonora zaczęła odkurzać meble, słuchając cichego narzekania matki.

- Tony zechce tu oczywiście przyjechać i wszystko ci wyjaśnić - mówiła lady Crosby. - Bądź co bądź on cię kocha, To znaczy, tak mi się wydaje.

- A mnie się wydaje, że on kocha ten dom i tę ziemię, a ponieważ nie może ich dostać beze mnie, postanowił zawrzeć transakcję wiążaną.

- A czy ty go kochasz, moje dziecko?

- Nie jestem pewna, mamu - odparła Leonora, ostrożnie odkurzając porcelanową figurkę.

Sklep pani Pike był pusty.

- Oni wyjechali - oznajmiła scenicznym szeptem właścicielka, jakby w obawie, że ktoś ją może podsłuchać. - Ci faceci, którzy mieszkali w zajeździe. Wczoraj wieczorem ktoś zadzwonił do nich z Londynu. Mój mąż siedział w barze i słyszał, że byli bardzo zaskoczeni.

- Ja nie jestem zaskoczona - odparła Leonora. - Widziałam się wczoraj z panem Beamishem i... wszystko zostało ostatecznie załatwione.

Zdjęła rękawiczkę, by odgarnąć włosy, a pani Pike utkwiała natychmiast wzrok w jej palcu.

- Co się stało z pani pierścieniem, panno Leonoro? Czyżby pani go zgubiła?

- Nie. Pan Beamish i ja postanowiliśmy nie brać ślubu.

- Mój Boże, nigdy bym się tego nie spodziewała. A w dodatku to był ogromny brylant!

- Istotnie, był dosyć duży - przyznała Leonora, stwierdzając ze zdziwieniem, że wcale nie odczuwa jego braku.

Po powrocie do domu zastała ojca w gabinecie.

- Ci dwaj wyjechali - oznajmiła, a potem zrelacjonowała mu przebieg rozmowy z panią Pike. - Tato, czy myślisz, że Tony będzie się chciał zobaczyć z tobą lub ze mną?

- Owszem, moja droga. Ale nie musisz się z nim spotykać, jeśli nie masz ochoty. Ja z pewnością zażądam wyjaśnień.

Ale Tony nie dawał znaku życia. Nie napisał ani nie zatelefonował. Po kilku dniach Leonora przestała nadśłuchiwać dzwonek telefonu, przeglądać nerwowo poranną pocztę i wstrzymywać oddech, gdy obok bramy przejeżdżał jakiś samochód. Zadzwoiła do ciotki Marion, by podziękować za gościnę, a starsza pani powiedziała jej, że Tony nie próbował nawiązać z nią kontaktu.

- Choć sama właściwie nie wiem, dlaczego miałby to zrobić - dodała ze śmiechem.

Doktor Galbraith, któremu Cricket przekazywał dokładnie krążące po miasteczku plotki, miał na ten temat swoje zdanie. Wiedział, że Tony nie jest głupcem. Przypuszczał, że poczeka on na moment, w którym Leonora zda sobie sprawę z tego, że jej przyszłość stanęła pod znakiem zapytania. Jako człowiek próżny zakładał z pewnością, że narzeczona będzie za nim tęsknić i był przekonany, że kiedy zjawi się we właściwej chwili, błagając o wybaczenie, bez trudu przekona ją do swych planów.

James Galbraith czuł się w tej sprawie bezsilny. Leonora nie była głupim podlotkiem. Potrafiła samodzielnie myśleć. On mógł jedynie wysłuchać jej zwierzeń, jeśli ona zechce z nim rozmawiać.

Przez kilka dni nie wiedział, co się z nią dzieje. Był zresztą bardzo zajęty; musiał odwiedzać pacjentów na odległych farmach, a o tej porze roku, sprzyjającej przeziębieniom i bronchitom, w przychodni panował spory tłok.

Tymczasem Leonorze brakowało kogoś, komu mogłaby się zwierzyć. Jej rodzice, oburzeni postępowaniem Tony'ego, nie chcieli o nim w ogóle słyszeć, a niania, choć była życzliwą

i zaufaną przyjaciółką, nie czuła się na tyle doświadczona, by udzielać jej rad.

Tony przyjechał w poniedziałek, w dziesięć dni po ich spotkaniu w Londynie. Zatrzymał samochód na podjeździe i dokładnie obejrzał dom, a potem dopiero nacisnął dzwonek. Mimo zaniedbanego wyglądu była to piękna, stara posiadłość, a on nie zamierzał łatwo z niej zrezygnować.

- Witaj, kochanie! - zawołał serdecznie, gdy Leonora otworzyła drzwi. - Czy już uspokoiłaś się na tyle, żeby ze mną porozmawiać? Chyba nie mówiłaś poważnie, prawda? Przywiozłem ci twój pierścionek...

Stała w progu, zagradzając mu wejście do domu.

- Owszem, uspokoiłam się. Ale mówiłam poważnie, więc możesz natychmiast odjechać.

- Nie, to niemożliwe. - Położył dłoń na jej ramieniu. - Pomyśl o wszystkich urokach życia, których będzie ci brakowało. Będę dla ciebie bardzo dobry...

- Nie wierzę w to - przerwała mu. - Nie chcę mieć z tobą więcej do czynienia, a jeśli mój ojciec usłyszy jeszcze kiedykolwiek o twoich planach, zwróci się do adwokata.

Tony roześmiał się drwiąco.

- Ty chyba nie mówisz poważnie, moja droga. Najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy, że moja propozycja jest bardzo korzystna. ..

- Tak,, dla ciebie. Czy chcesz widzieć się z ojcem?

- Jeszcze nie. Myślałem, że porozmawiam najpierw z tobą, a potem pójdziemy do niego i wszystko mu wyjaśnimy...

- Co mu wyjaśnimy? Że oszukiwałeś go tak jak mnie? Odejdź, Tony.

- Nie odejdę, dopóki ze mną nie porozmawiasz.

Leonora nie była kobietą lękliwą, ale wyraz jego twarzy obudził w niej nagłe przerażenie. Tony włożył nogę między drzwi, więc nie mogła ich zamknąć. Modliła się w duchu,

żeby ktoś przyszedł jej z pomocą. I jej modlitwy zostały wysłuchane. Doktor Galbraith, który wracał właśnie z Bath, jak zwykle zerknął w kierunku jej domu. Zatrzymał samochód, cofnął go i bezgłośnie podjechał pod same drzwi.

- Dzień dobry - zawołał pogodnym tonem, wysiadając z auta. - Przejeżdżałem tędy, więc postanowiłem sprawdzić, jak się miewa pani ojciec. - Popatrzył na Tony'ego z uśmiechem.

- Cóż to za niespodziewana wizyta? - spytał uprzejmie. - Nie wiem, czy pan o tym wie, ale nie cieszy się pan tu wielką sympatią. Powiem więcej, ma pan w naszym miasteczku fatalną opinię. Czy on się pani narzuca, Leonoro? - Kiedy kiwnęła głową, spojrział na Tony'ego z dezaprobatą. - Jeśli przyjechał pan po to, żeby podjąć próbę pojednania się z sir Wiliamem, to gorąco to panu odradzam. Najlepsze, co może pan zrobić, to wracać tam, skąd pan przybył, i nie pokazywać się tu więcej!

- Co to pana obchodzi? - wymamrotał Tony, odzyskując w końcu głos. - To sprawa prywatna.

- Myli się pan, Beamish - oznajmił James. - To nie jest prywatna sprawa. Rodzina państwa Crosby mieszka tu od kilkuset lat, a pan, drogi panie, nie ma tu ani jednego przyjaciela.

Uśmiechnął się promiennie, ale w jego oczach lśnił błękitny lód. Tony pierwszy spuścił wzrok.

- Niech pan nie myśli, że pozwolę się zastraszyć - wyjąkał.

- Pańskie groźby nie robią na mnie wrażenia...

- Groźby? Nikt panu nie grozi, Beamish. Niech pan potraktuje moje słowa jako przyjacielskie ostrzeżenie.

- Widzę, że nie ma sensu, żebym tu zostawał dłużej - rzekł Tony. - Wrócę, kiedy będę miał szansę spokojnie z tobą porozmawiać, kochanie...

- Nie mów do mnie „kochanie”! - przerwała mu chłodno Leonora. - Mówię ci po raz ostatni, że nie chcę cię widzieć.

- Przecież mnie kochasz... - zaczął Tony.

- Nie, nie kocham cię. Wydawało mi się, że cię kocham, ale to nieprawda.

Doktor Galbraith uznał tę odpowiedź za całkowicie satysfakcjonującą. Od dawna uważał, że Tony nie zasługuje na tak świetną dziewczynę jak Leonora. Był też przekonany, że prędzej czy później znajdzie się jakiś uczciwy i bardziej odpowiedni kandydat na jej męża.

Tony podszedł do samochodu, wsiadł i odjechał.

- Skoro już załatwiliśmy tę sprawę, to czy mógłbym zobaczyć się z pani ojcem? - spytał lekarz.

Leonora spodziewała się, że będzie ją pocieszał lub chwalił się rolą, jaką odegrał w rozmowie z Tonym, toteż poczuła się zawiedziona.

- Jestem pewna, że ojciec będzie zachwycony pańską wizytą - oznajmiła chłodno, wprowadzając go do holu. - Zaraz przyniosę kawę. Ojciec pije ją zwykle właśnie o tej porze.

Uchyliła drzwi salonu i zaanonsowała doktora Galbraitha. Jej ojciec podniósł głowę znad gazety.

- Poproś go, żeby wszedł - powiedział. - Słyszałem jakieś głosy i zastanawiałem się, kto to może być.

Leonora wpuściła gościa do salonu, a potem poszła do kuchni i zaczęła hałaśliwie ustawiać na tacy filiżanki.

- Co panienkę tak zdenerwowało? - spytała niania. - Czy mi się zdawało, że ktoś do nas przyjechał?

- To był Tony Beamish, ale nie wpuściłam go do domu - mruknęła Leonora. - Przyszedł doktor Galbraith, więc zaniiosę kawę do salonu. Gdzie jest mama?

- Na górze. Przegląda swoją garderobę. Czy ten Tony zrobił panience jakąś przykrość?

- W gruncie rzeczy nie. Chciał, żebym przyjęła z powrotem pierścioneł. Prawdę mówiąc, robił się trochę... uciążliwy, ale na szczęście przejeżdżał akurat wtedy doktor Galbraith.

- I posłał go do wszystkich diabłów, prawda?

- No tak, ale zrobił to bardzo uprzejmie.

- Rozumiem - mruknęła niania. - Czy możesz tu wrócić i zanieść filiżankę kawy swojej matce?

Kiedy weszła do salonu, obaj mężczyźni byli pogrążeni w rozmowie. Doktor Galbraith wstał i odebrał od niej tacę, ale Leonora nie spojrziała nawet w jego kierunku. Gdy zaniosała kawę na górę, matka prawie nie zwróciła na nią uwagi.

- Muszę sprawić sobie nową garderobę - oznajmiła. - Czy ktoś wchodził do domu?

- Doktor Galbraith wstąpił spytać o zdrowie ojca.

- Zaraz zejść na dół, żeby z nim porozmawiać. Może przepisze mi jakieś lekarstwo. Czuję, że potrzebuję zmiany. Może powinnam pojechać do Londynu? Te twoje zerwane zaręczyny były dla mnie ciężkim przeżyciem.

- Były też ciężkim przeżyciem dla mnie, mamó.

- On naprawdę zachował się haniebnie. Ale nie przejmuj się tym za bardzo. W morzu jest jeszcze mnóstwo innych ryb.

- Tylko że ja chyba nie jestem najlepszym rybakiem - powiedziała cicho Leonora i poszła do kuchni.

Obierała właśnie kartofle, kiedy niespodziewanie w progu stanął doktor Galbraith.

- A więc w końcu panią znalazłem. Rozmawiałem z lady Crosby, która twierdzi, że nie czuje się najlepiej. Zapisałem jej lekarstwo. Czy mogę zostawić tu receptę? - Spojrzał na nią uważnie. - Ojciec miewa się doskonale. A pani?

- Ja nie potrzebuję lekarza - odparła chłodno.

- Niech pani nie kusi losu - powiedział, uśmiechając się do niej życzliwie, a potem wyszedł równie cicho jak wszedł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Doktor Galbraith zaprosił nas na kolację - oznajmiła z zadowoleniem matka, kiedy zasiedli do lunchu. - Chce nam przedstawić swoich przyjaciół z Londynu. W sobotę.

Leonora przypominała sobie potoki łez wylane w obecności Jamesa. Była przekonana, że zachowała się kompromitująco.

- Przykro mi mamó, ale będę musiała odmówić - rzekła niepewnym tonem. - Obiecałam Maggie, że zaopiekuję się ich dzieckiem. Oboje z Gordonem jadą do miasta, żeby uczcić rocznicę swojego ślubu. Mam u nich spędzić całą noc.

- Na miłość boską, przecież oni mają opiekunkę do dziecka! - zawołała z irytacją matka.

- Tak, ale ona jest młoda i niedoświadczona. Czy przyjąłś to zaproszenie w moim imieniu?

- Oczywiście, że tak. To niezwykle miły człowiek, a jak słyszałam, w dodatku bardzo zamożny.

- Napiszę do niego - zapowiedziała Leonora.

Wysłała do niego krótki, uprzejmie sformułowany list, który wydał mu się dość zabawny.

- Dlaczego wybrała taki sposób? - spytał swego wiernego, lecz milczącego Toda. - Nawet jeśli postanowiła odmówić, mogła zadzwonić albo odwiedzić mnie w przychodni. Obawiam się, że nasze stosunki ponownie uległy ochłodzeniu! Co za dziwna dziewczyna...

Potem zapomniał o całej sprawie. Natomiast Leonora odkryła, że zamiast opłakiwać niegodziwość Tony'ego, coraz częściej myśli o doktorze. Uważała go za znakomitego przyjaciela. Polubiła jego towarzystwo i bezpretensjonalny sposób bycia. Ale on najwyraźniej był przywiązany do tej tajemniczej młodej kobiety, która nadała imię jego psu. Postanowiła więc go unikać, choć matka nie kryła bynajmniej, że byłaby zadowolona, gdyby widywali się częściej.

Na szczęście była bardzo zajęta organizacją festynu, który jak co roku miał odbyć się w parku. Wszyscy mieszkańcy miasteczka brali udział w jego przygotowaniu. Ci, którzy byli obdarzeni zmysłem praktycznym, smażyli marmoladę, piekli ciastka, wyrabiali słodycze i przygotowywali fanty na loterię. Inni zajmowali się dekoracjami.

Leonora, która umiała nieźle rysować i malować, zamknęła się na strychu i przystąpiła do pracy. Przez kilka dni wychodziła z domu tylko po to, by udać się do państwa Dowlings i pomóc im w przygotowywaniu karteczek z cenami. Gdy nadeszła sobota, zjawiała się w uroczym domku Gordona i Maggie, przejęła od nich obowiązki opiekunki małego Toma, pomachała im na pożegnanie i przez całe popołudnie zajmowała się dzieckiem. Chłopiec zasnął smacznie już o dziesiątej wieczorem, więc ona również położyła się wcześniej do łóżka.

Nazajutrz obudziła się pogodna i wypoczęta. Karmiąc Toma, myślała o tym, jak bardzo chciałaby mieć własne dziecko. Gdybym wyszła za Tony'ego, pomyślała, on z pewnością nie miałby wiele czasu na zajmowanie się potomstwem...

Kiedy Maggie i Gordon wrócili, wypła z nimi herbatę, a potem pojechała do domu. Rodziców zastała w salonie. Sir William jak zwykle czytał niedzielne gazety, a matka siedziała przy stole, pochylona nad krzyżówką.

- Kochanie, jaka szkoda, że nie mogłaś pójść z nami na tę kolację - zawołała na jej widok. - Doktor Galbraith ma uroczy dom i cudowne stare meble. Myślę, że odziedziczył je po krewnych. W jego salonie stoi sekretarzyk, który wzbudził mój zachwyty. A ten jego służący... Cricket, to prawdziwy skarb! Kolacja była doskonała, a ci przyjaciele, państwo Ackroyd, okazali się czarujący. Przedziwnym zbiegiem okoliczności pan Ackroyd znał szwagra twojego ojca, męża

ciotki Marion. Ona też jest bardzo sympatyczna, choć dosyć bezbarwna. Są o wiele starsi niż doktor Galbraith, ale ich córka bardzo się z nim podobno przyjaźni. Moim zdaniem, on powinien się ożenić.

- Zrobi to, kiedy będzie miał ochotę, mamó - odparta Leonora. - Cieszę się, że spędziliście miły wieczór.

Po chwili wyszła do ogrodu, zabierając ze sobą Wilkinsa. Czowała się dziwnie niespokojna. Miała wrażenie, że po zerwaniu z Tonym jej przyszłość jest pustą przestrzenią, pozbawioną jakichkolwiek perspektyw. Odkąd ojciec stracił pieniądze, była skazana na prowadzenie domu. Nie winiła za to matki, która nie miała pojęcia o gospodarstwie. Ale wszystko wskazywało na to, że będzie się stopniowo starzeć, z trudem wiążąc koniec z końcem i samodzielnie dokonując drobnych prac remontowych.

Wilkins pobiegł nagle w stronę bramy i zniknął jej z oczu. Po chwili wrócił, wesoło machając ogonem. Widać było, że nadchodzi ktoś, kogo zna i lubi.

Zza drzew wyłonił się doktor Galbraith.

- Dzień dobry, panno Leonoro - powitał ją przyjaznym tonem. - Niania powiedziała mi, że znajdę panią w ogrodzie. Żałuję, że nie wziąłem Toda. Muszę z panią o czymś porozmawiać.

- Słucham...

- Pani Crisp, moja sekretarka, złamała rękę. Czy zechciałaby pani przejąć na kilka tygodni jej obowiązki? Przychodnia otwarta jest od ósmej trzydzieści do jedenastej rano, a po południu od piątej do siódmej, czasem trochę dłużej. Nie przyjmujemy w soboty po południu ani w niedziele.

- Ja nie umiem pisać na maszynie - wyjąkała ze zdumieniem Leonora. - I nie mam pojęcia o prowadzeniu...

- Zna pani wszystkich w miasteczku i okolicy. Potrafi pani odbierać telefony i nie wpadać w histerię w razie nieprzewidzianego wydarzenia. Jeśli wezmę kogoś z agencji, ta osoba nie będzie wiedziała, gdzie mieszkają pacjenci i nie da sobie z niczym rady.

- Ale ja nie mogę... - Leonora przygryzła wargi. - Muszę prowadzić dom, robić zakupy i tak dalej.

- Będzie pani otrzymywać pensję. Przecież znajdzie pani w tym miasteczku kogoś, kto pomoże niani. - Widząc, że Leonora zaczyna się wahać, dodał: - Będzie pani pracować od dwudziestu do trzydziestu godzin w tygodniu. Dostanie pani...

Wymienił sumę, która wprawiła ją w pełne zachwytu zdumienie.

- Aż tyle? - spytała z niedowierzaniem, dokonując w myślach kilku operacji matematycznych. - No dobrze, skoro pan uważa, że dam sobie radę, to gotowa jestem podjąć tę pracę...

- Wobec tego pojedźmy od razu do przychodni, żebym pani wytłumaczył, na czym będą polegać pani obowiązki.

- Oczywiście. Muszę tylko powiedzieć o tym matce.

- Czy chce pani, żebym z panią poszedł?

- Tak, to chyba dobry pomysł - odparła po chwili zastanowienia. - Chyba wie pan, co mam na myśli, prawda?

Kiwnął głową. Lady Crosby mogła się zgodzić na objęcie przez jej córkę płatnej posady tylko pod jednym warunkiem. Trzeba było ją przekonać, że jest to akt poświęcenia na rzecz miejscowej społeczności. James dokonał tego w sposób tak przebiegły, że Leonora patrzyła na niego z podziwem. Matka wysłuchiwała jego argumentów i w końcu uległa.

- No tak, rozumiem dobrze, że moja córka posiada pewne zobowiązania wobec tutejszej społeczności. Jak pan wie, mieszkamy tu od wielu lat... - Zmarszczyła nagle brwi. - Jest tylko jedna przeszkoda; Leonora podjęła się prowadzenia

naszego domu. Mnie nie pozwala na to stan zdrowia. Nie wiem, jak sobie bez niej poradzimy przez większą część dnia.

- To jest problem, który można łatwo rozwiązać - wyjaśnił doktor. - Panna Leonora będzie dostawać pensję. Chyba znajdzie się w miasteczku jakaś kobieta, która zechce pomagać niani w zamian za stosowne wynagrodzenie.

- Ależ tak! - Lady Crosby wyraźnie się rozchmurzyła. - Mówi pan, że będzie dostawać pensję? W takim razie nie widzę żadnych przeszkód. Czy zostanie pan u nas na kolacji?

Doktor Galbraith wymówił się uprzejmie, a potem dodał:

- Czy mogę wobec tego zabrać Leonorę na godzinę lub dwie? Chcę jej wytłumaczyć, na czym będzie polegała jej praca, a później zaproszę ją na kolację.

- Tak, tak, oczywiście... Czy mógłby pan coś mi poradzić na te bóle w klatce piersiowej?

- Nie mogę tego zrobić bez dokładnego badania. Proponuję, żeby wpadła pani któregoś popołudnia do przychodni. Chociaż muszę stwierdzić, że wygląda pani bardzo zdrowo.

- Ach, mój wygląd o niczym nie świadczy - westchnęła lady Crosby. - Ale ja nie mam zwyczaju się skarżyć...

Jazda do przychodni trwała tak krótko, że nie musieli podczas niej rozmawiać. Gdy przybyli na miejsce, James wyjaśnił jej wszystko zwięźle i konkretnie. Wysłuchała go uważnie, zajrzała do kilku szafek i zadała parę pytań.

- Czy może pani przyjść jutro rano?

- Jutro? Dlaczego nie? Ale nie zacznie pan na mnie krzyczeć, jeśli wszystko będzie mi lecieć z rąk?

- Nie, nie - odparł ze śmiechem. - Jestem pewien, że pani sobie ze wszystkim poradzi. Pani Crisp obiecała, że wpadnie tu i udzieli pani rad. A więc o wpół do ósmej, zgoda?

- Zgoda. Poproszę nianię, żeby poszukała kogoś do pomocy w domu. Może pani Pike zechce kogoś wskazać...

- A więc załatwione. Teraz chodźmy na kolację.

- Nie musi mnie pan zapraszać - wymamrotała zawstydzona. - Przecież już mi pan wszystko wytłumaczył.

- Na pewno coś mi się przypomni podczas jedzenia. Rano nie będziemy mieli na to czasu.

Kiedy podjechali pod jego dom, Cricket otworzył im drzwi i uśmiechnął się promiennie na widok Leonory.

- Podani kolację za piętnaście minut - oznajmił i zniknął w kuchni, by wzbogacić zestaw dań o kilka nowych pozycji. Żałował, że nie został uprzedzony o wizycie panny Crosby, bo bardzo ją polubił i chętnie popisałby się przed nią swymi talentami kulinarnymi.

James wprowadził Leonorę do salonu, otworzył drzwi od ogrodu, by wpuścić Toda, a potem zaproponował jej drinka. Sącząc sherry, rozmawiała z nim przez kilka minut, a ponieważ była głodna, zastanawiała się, co Cricket poda na kolację.

Spotkała ją miła niespodzianka. Kiedy usiedli przy elegancko nakrytym stole, podano im na zakąskę anchois, a później zapiekankę z szynki z serem i sałatkę z kartofli oraz groszek i grzybki w śmietanie z dodatkiem czosnku. Doktor Galbraith z rozbawieniem odnotował nadzwyczajną hojność swego służącego, a kiedy pojawił się deser - lody ozdobione kandyzowanymi wiśniami i palonymi migdałami - uśmiechnął się szeroko. Po kolacji zaproponował Leonorze, by przeszli do salonu na kieliszek wina.

- Powinnam już wracać - zaproponowała wbrew sobie.

- Zaraz panią odwiozę, ale musimy najpierw wypić kawę, zwłaszcza że Cricket parzy ją bardzo dobrze.

- Chyba powinien mi pan powiedzieć coś jeszcze na temat mojej pracy - zauważyła, kiedy usiedli przy kominku.

Czuła się dobrze w przytulnym wnętrzu salonu, a pod wpływem rozmowy z doktorem Galbraithem zapomniała na chwilę o wszystkich troskach.

- Och, myślę, że już wszystko jest jasne - odparł, głaszcząc Toda. - Zna pani przecież większość pacjentów, a to bardzo ułatwi ich przyjmowanie.

Wkrótce odwiózł ją do domu, pożegnał się i odjechał. Leonora weszła do salonu, w którym siedzieli jej rodzice.

- Ach, już wróciłaś, kochanie - powitała ją matka. - Mam nadzieję, że wszystko jest załatwione. Twój ojciec przyznał mi rację: musimy w razie potrzeby pomagać członkom miejscowej społeczności. Dla ludzi o naszej pozycji jest to po prostu obowiązek.

- Oczywiście, mam - odparła Leonora, wymieniając spojrzenia z ojcem. Lady Crosby mówiła szczerze, ale oni oboje wiedzieli dobrze, że jest ona ostatnią osobą, do której ktokolwiek zwróciłby się z prośbą o pomoc. To raczej ona jej potrzebowała.

Kiedy następnego dnia Leonora zjawiła się punktualnie w przychodni, samochód doktora stał już przed budynkiem, a poczekalnia była pełna ludzi. Powitała wszystkich uprzejmie, zdjęła kurtkę i zasiadła do wypełniania kart pacjentów. Jeszcze nie skończyła notatek, kiedy rozległ się dzwonek z gabinetu.

- Jestem już prawie gotowa - zapewniła nerwowo doktora Galbraitha, wchodząc do pokoju.

- Dzień dobry, Leonoro - odparł spokojnie. - Proszę się nie denerwować. Niech pani da mi te karty, które są już przygotowane. Przeznaczam około siedmiu minut na jednego pacjenta, czasem jednak trwa to trochę dłużej. Kto jest pierwszy? Ach, pani Dodge... Niech pani ją poprosi.

Po kilkunastu minutach Leonora pokonała nieśmiałość i doszła do wniosku, że chyba polubi tę pracę. Pacjenci nie

szczędzili jej dobrych rad i wskazówek. Ostatni z nich, wchodząc do gabinetu, zasugerował, by włączyła czajnik z wodą.

- Pan doktor lubi napić się kawy - wyjaśnił uprzejmie.

Kiedy poczekalnia opustoszała, Leonora przygotowała filiżanki i, czekając na zagotowanie się wody, zaczęła porządkować biurko. Była z siebie dosyć zadowolona. Mimo kilku drobnych kłopotów, wszystko poszło jej zupełnie dobrze. Gdy doktor Galbraith stanął w drzwiach gabinetu, podniosła wzrok znad papierów, oczekując paru słów pochwały. Ale on, nie patrząc w jej kierunku, ruszył pośpiesznie w stronę wyjścia.

- Mogę się trochę spóźnić na popołudniowy dyżur - oznajmił rzeczowym tonem. - Proszę zadzwonić do pani Crisp i poprosić ją, żeby tu przyszła i odbierała telefony.

Kiwnął jej głową na pożegnanie i zniknął za drzwiami, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Domyśliła się, że chce jak najprędzej odbyć wizyty domowe. Nalała więc sobie filiżankę kawy i zadzwoniła do pani Crisp.

Pani Crisp nie było w domu - wyjechała już do Bath i miała wrócić dopiero pod koniec tygodnia. Leonora podziękowała mężowi sekretarki za informacje i zaczęła się zastanawiać nad sytuacją. Doktor Galbraith chciał najwyraźniej, żeby ktoś odbierał telefony, a nie miał pojęcia o przyspieszonym wyjeździe sekretarki.

- Nie mogę stąd wyjść - powiedziała, zwracając się do pustego fotela, po czym zatelefonowała do domu.

Niania, która podniosła słuchawkę, obiecała, że przekaze wiadomość jej rodzicom. Potem zaproponowała, że przyśle jej coś do jedzenia, ale Leonora stanowczo odmówiła.

- Jak panienka sobie życzy - rzekła z irytacją starszuszka. - Ale mogę się założyć, że osłabnie pani z głodu do wieczora. Poczekalnia może być pełna pacjentów.

Jak zwykle miała rację. Gdy nadeszła pora lunchu, Leonora poczuła się bardzo głodna. Zadzwoiła więc do pani Pike, która w dziesięć minut później przysłała jej przez swego syna kilka kanapek. Zjadła je, wypła herbatę i zaczęła czytać jedną ze stojących na półce książek.

Odebrawszy kilka telefonów od pacjentów, którzy chcieli się umówić na wizytę, zdała sobie nagle sprawę z tego, że nie ma pojęcia, jak skontaktować się z doktorem, gdyby doszło do jakiegoś wypadku. Po dłuższych poszukiwaniach znalazła na jego biurku kartkę z informacją, że w razie pilnej potrzeby ma dzwonić pod wypisany poniżej numer. W tym momencie rozległ się kolejny dzwonek telefonu.

Natychmiast rozpoznała po głosie swą rozmówczynię. Była to Shirley Bates, kobieta ciesząca się w miasteczku nie najlepszą opinią. Mieszkała w jednym z domków położonych w pobliżu głównej ulicy. Miała gromadkę małych dzieci oraz nieodpowiedzialnego męża i była znana z lenistwa.

- Chodzi o mojego Cecila. Strasznie kaszle i ma jakąś dziwną wysypkę. To chyba odra, albo coś podobnego. Inne dzieci już ją przechodziły, ale on nie. Ma wysoką gorączkę, nie chce jeść ani pić.

- Doktora nie ma - oznajmiła Leonora. - Ale poproszę go, żeby odwiedził Cecila, gdy tylko będzie mógł. Czy może pani położyć go do łóżka i dać mu dużo pić?

- On siedzi w kuchni i ogląda telewizję, ale każę mu się położyć, kiedy tylko nakarmię dziecko. Do widzenia.

Leonora spisała podane przez Shirley objawy, zastanawiając się, czy doktor uzna tę sprawę za pilną. Dzieci pani Bates odznaczały się zadziwiająco dobrym zdrowiem, choć jadły głównie chipsy ziemniaczane oraz rybę z frytkami. Ale Cecil miał chyba dopiero pięć lat, a zaniedbana odra mogła wywołać groźne następstwa. Gdy rozważała tę sprawę, do poczekalni weszła starsza dama. Leonora znała ją; była to

pani Squires, siedemdziesięcioletnia wdowa, o której sąsiedzi mówili, że jest „trudna”. Jako osoba dość zamożna, mieszkała samotnie we własnym domku przy głównej ulicy i z braku zajęcia uskarżała się na najróżniejsze choroby. Była też znaną plotkarką, więc Leonora powitała ją dość chłodno.

- Dzień dobry, pani Squires. Doktora nie ma. Popołudniowy dyżur zaczyna się o piątej.

- Tak, tak, wiem. - Pani Squires rozsiadła się na jednym ze stojących w poczekalni krzeseł. - Ale ja się fatalnie czuję. Trzeba go wezwać, żeby mnie zbadał. To jego obowiązek.

- Doktor odbywa właśnie wizyty domowe - wyjaśniła Leonora. - Na pani miejscu odpoczęłabym w domu i wróciła tu o piątej.

- Poskarżę mu się na sposób, w jaki pani mnie traktuje - zagroziła pani Squires, rzucając jej niechętne spojrzenie. - To jest niezgodne z Kartą Praw Pacjenta.

- Przecież nie potraktowałam pani nieuprzejmie. Postaram się, żeby została pani przyjęta jako pierwsza.

- No dobrze - mruknęła kobieta, ale nie ruszyła się z miejsca. - Widzę, że nie nosi pani pierścionka. Słyszałam nawet... ale mniejsza o to. Więc zaręczyny zostały zerwane? Szkoda, bo ten młody człowiek wydawał mi się czarujący. Mam nadzieję, że trafi się pani inna okazja.

- Ja również mam taką nadzieję - odparła pogodnie Leonora, pragnąc ukryć niepewność. - A teraz, jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, muszę sprzątnąć poczekalnię.

- To zabawne, że pani musi odkurzać i zamiatać przychodnię - rzekła złośliwie pani Squires. - Młoda dziewczynka z rodziny Crosby. Ciekawe, co by na to powiedział pan Beamish.

Miała ochotę potrząsnąć panią Squires tak mocno, by usłyszeć grzechotanie jej sztucznych zębów. Ale opanowała

gniew i z uśmiechem otworzyła jej drzwi. Gdy tylko je za nią zamknęła, zadzwonił telefon.

- Mój Cecil zwymiotował na dywan - oznajmiła pani Bates. - Jest tak chory, że nie może mówić ani się poruszać. Zrobił się blady jak ściana.

- Spróbuję jak najszybciej porozumieć się z doktorem, pani Bates. Czy Cecil leży w łóżku?

- Nie chciał się położyć. Nadal siedzi w kuchni.

- Więc proszę trzymać go w ciepło i dać mu coś do picia. Doktor niedługo się zjawi. Zaraz zacznę go szukać.

Wystukała wypisany na kartce numer telefonu i westchnęła z ulgą, kiedy w słuchawce rozległ się znajomy głos.

- Ach, to pan, panie Willis. Czy jest tam pan doktor? Muszę się z nim pilnie skontaktować.

- Zaraz go poproszę, panno Leonoro. Zadzwoniła pani w samą porę, bo właśnie zbierał się do wyjścia.

- Słucham - odezwał się po chwili James.

- Cieszę się, że pana znalazłam - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał rzeczowo. - Dzwoniła pani Bates, ta z domów komunalnych... Czy wie pan, gdzie to jest? Jej synek, Cecil fatalnie się czuje. - Odczytała mu zanotowane wcześniej objawy choroby. - Czy może pan do niej pojechać? Dziękuję Bogu, że nie jest pan daleko stąd...

- Proszę zadzwonić do pani Bates i powiedzieć, że jestem w drodze. Dlaczego nadal urzęduje pani w przychodni?

- Bo pani Crisp wyjechała do Bath. Mruknął coś niewyraźnie i odłożył słuchawkę.

- Co za okropny człowiek - powiedziała głośno, a potem zadzwoniła do pani Bates i nastawiła czajnik. Nalała sobie filiżankę herbaty i pogрузzyła się w myślach...

Gdy lekarz zjawił się w przychodni, zegar wskazywał godzinę piątą, a poczekalnia była pełna. Leonora, która już

wcześniej ułożyła na jego biurku karty pacjentów, natychmiast wprowadziła panią Squires. Uciążliwa staruszka wyszła po niecałych pięciu minutach. Wyglądała na osobę bardzo z siebie zadowoloną, więc Leonora mimo woli zaczęła się zastanawiać, co takiego powiedział jej doktor Galbraith.

Gdy wprowadziła następnego pacjenta, zaczęła rozmyślać, gdzie doktor był przez cały dzień. Nie miała też pojęcia, dlaczego po powrocie nie odezwał się do niej ani słowem, a nawet nie zerknął w jej kierunku.

Zapewniał mnie, że praca nie będzie zbyt trudna, a ja siedzę tu przez cały dzień jak niewolnica, pomyślała ze złością. Niech sobie znajdzie kogoś innego. Ja zgodziłam się mu pomóc tylko z życzliwości. Nie potrzebuję jego pieniędzy...

Cichy, wewnętrzny głos przypominał jej, że pieniądze mogą się okazać bardzo przydatne. Oczywiście pod warunkiem, że uda jej się nakłonić ojca do wyrażenia zgody na remont ciekącego dachu. Kiedy ostatni pacjent wyszedł, zaczęła układać kolorowe czasopisma i ustawiać krzesła. Klęczała właśnie na podłodze, zbierając porozrzucane przez dzieci zabawki, kiedy James wszedł do poczekalni.

- Proszę mi powiedzieć, co się tu działo.

Chłodnym tonem zdała mu sprawozdanie z przebiegu całego dnia, a on wysłuchał w milczeniu jej relacji.

- Gdyby powiedział mi pan, jak mam postępować w takim wypadku, albo poinformował mnie, gdzie mogę pana znaleźć... - Wstała z klęczek. - Jak się miewa Cecil Bates? Czy to coś poważnego?

- Posłałem go do szpitala. Ma zapalenie opon mózgowych.

- O Boże, chyba powinnam była zadzwonić do pana wcześniej ! Albo wezwać karetkę?

- Postąpiła pani tak, jak należało - odparł. - Myślę, że ma duże szanse na powrót do zdrowia. Przykro mi, że miała pani tyle pracy. Musi pani umierać z głodu.

- Nie, pani Pike przysłała mi kilka kanapek. Czy pan zdążył cokolwiek zjeść?

Doktor Galbraith spojrział na nią ze zdumieniem.

- Nie, ale Cricket coś mi poda, kiedy wrócę.

- Czy pani Willis jest chora? Odkąd jej córka opuściła dom, nie czuła się zbyt dobrze.

Usiadł okrakiem na krześle i położył ręce na jego oparciu.

- Jej córka wróciła. Urodziła dziś przed południem bliźnięta. - Uśmiechnął się. - Dlatego tak się spieszyłem. Zdążyłem w ostatniej chwili.

- Rodzice bardzo ją kochają - powiedziała z namysłem Leonora. - Jak ona się czuje? A dzieci?

- Wszyscy są w doskonałej formie. Czy pani Squires była bardzo nieznośna?

- Owszem. Rozsiadła się w poczekalni i oznajmiła mi, że jest bardzo chora. Choć moim zdaniem nic jej nie dolega. - Zerknęła na niego pytająco. - Widzi pan, znam ją od wielu lat i zawsze uskarżała się na wszystkie możliwe dolegliwości, więc nikt jej już nie wierzy.

- Istotnie nic jej nie dolega. Poza tym, że jest złośliwa. Uważa, że została potraktowana tak bezdusznie, bo ma pani złamane serce z powodu zerwanych zaręczyn.

- Tak powiedziała? Całe miasteczko usłyszy jej wersję w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

- Mam nadzieję, że nie. Odwołałem się do jej wielkoduszności.

- Nie musiał pan tego robić...

- Czy ma mi pani za złe, że się wtrąciłem w pani sprawy? A propos, czy szanowny pan Beamish dał jakiś znak życia?

- Nie. A ja nie chcę o tym rozmawiać.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że kiedy się odezwie, przemówi pani do niego tak lodowatym tonem, jakim rozmawia pani ze mną. - Wstał, ignorując jej gniewny pomruk. - Odwiozę panią do domu. Czy wytrzyma pani następny dzień tej pracy?

- Oczywiście. Już zdążyłam ją polubić. Pani Crisp wróci dopiero za kilka dni, więc jutro przyniosę kanapki.

- Nie ma takiej potrzeby. Przyjadę po panią, kiedy skończę wizyty domowe i możemy zjeść lunch u mnie.

- To zbyt uczte... - zaczęła Leonora. - To znaczy... chętnie będę dyżurować w przychodni. Dzień minął mi tak szybko, że nie miałam czasu na myślenie.

- To dobrze. Zaczyna pani odzyskiwać odwagę i pewność siebie. Przydadzą się pani podczas następnego spotkania z Beamishem.

- Nie zamierzam się z nim więcej widywać.

- Nigdy nie wiemy, co czeka na nas za rogiem - oznajmił życzliwym tonem doktor Galbraith. - A teraz odwiozę panią do domu, zanim zaczną pani szukać.

Kiedy dojechali na miejsce, jak zwykle wysiadł i otworzył jej drzwi samochodu.

- Dziękuję pani za to, że tak dzielnie broniła pani naszej fortecy. Mam nadzieję, że wykaże pani podobny rozsądek podczas spotkania z Beamishem.

- Już mówiłam, że nie zamierzam się z nim widzieć.

Nie odpowiedział, lecz był pewien, że Tony planuje następną wizytę i jest przekonany o jej powodzeniu. I oczywiście miał rację.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Drugi dzień pracy przebiegł Leonorze bez większych zakłóceń. Nadal miała trudności z wyszukiwaniem kart pacjentów, ale telefon i księga zgłoszeń nie budziły już w niej lęku. Poranek minął bardzo szybko. Sama była zaskoczona, kiedy ostatni pacjent wyszedł, a do poczekalni zajrzał doktor Galbraith.

- Napijmy się kawy, dobrze? Zaraz dam pani listę wizyt domowych. Gdybym był potrzebny, może pani dzwonić na mój numer komórkowy. Kiedy wraca pani Crisp?

- Pod koniec tygodnia.

- To dobrze. Będzie tu dyżurowała po południu.

Wypił kawę i odjechał, a ona zaczęła przygotowywać karty pacjentów, którzy mieli się zgłosić po południu. Zastanawiała się, jaki może być James Galbraith w życiu prywatnym. Czy zawsze jest taki opanowany i małomówny? Czy zdarza mu się wpadać w gniew, tracić panowanie nad sobą?

Umyła filiżanki po kawie i podlała rosnące na parapecie kwiaty. Potem odebrała kilka telefonów od pacjentów, którzy chcieli odnowić receptę lub umówić się na wizytę, żadna z tych spraw nie była jednak bardzo pilna. Doktor wrócił przed pierwszą, zaprosił ją do samochodu i ruszył w kierunku domu.

Lunch był już gotowy, ale oni wyszli na chwilę do ogrodu, by pobawić się z Todem. Leonora z zazdrością patrzyła na starannie ostrzyżoną trawę i przycięte krzewy. Ogród jej rodziców, choć dwukrotnie większy, był - mimo jej wysiłków - bardzo zaniedbany. Potem zasiedli do stołu, by zjeść omlet z serem, sałatę i ciasto waniliowe. Gdy skończyli pić kawę, Leonora przypomniała sobie o swoich obowiązkach.

- Muszę już wracać - oznajmiła. - Czy mam zadzwonić z przychodni, kiedy tam dojdę?

- Nie, odwiozę panią. Chcę zobaczyć, jak radzi sobie pani Bates. Cecil czuje się lepiej, może zechce go odwiedzić...

- Dziś nie złapie już żadnego autobusu.

- I tak jadę do Bristolu, więc mogę ją zabrać.

Jest dobrym człowiekiem, pomyślała Leonora, gdy odjeżdżał.

Po następnych dwóch dniach czuła się już w przychodni jak w domu. Żałowała nawet trochę, że pani Crisp przejmie od niej popołudniowe dyżury. Ale choć pani Phelps, sprowadzona przez nianię, codziennie pomagała jej w pracy domowej, lady Crosby stale się skarżyła na nieobecność córki.

- Pamiętaj o tym kiermaszu, kochanie - mówiła z lekką naganą w głosie. - Biedna Lydia Dowling nie może sobie ze wszystkim poradzić.

Leonora z trudem powstrzymała się od złośliwej odpowiedzi. Przygotowywanie fantów na loterię wydawało jej się w tym momencie zupełnie nieważne.

W piątek, gdy James Galbraith wracał do przychodni po odbyciu porannych wizyt domowych, wyprzedził go jadący z nadmierną prędkością porsche. Tony Beamish."

James zerknął na zegarek i domyślił się, że Leonora jest już w domu; pani Crisp miała przejąć od niej obowiązki o wpół do pierwszej. Nie ulegało wątpliwości, że niebawem będzie słuchała starannie przygotowanych tłumaczeń Tony'ego.

- To nie moja sprawa, a ona nie jest już dzieckiem - mruknął pod nosem i pojechał do domu. Kiedy jednak zasiadł do lunchu, Cricket przekazał mu nieoczekiwaną wiadomość.

- Dzwoniła pani Crisp, sir. Nie może zastąpić dziś panny Crosby. Ma migrenę i musiała się położyć do łóżka.

- A więc panna Crosby nadal jest w przychodni?

- Tak sądzę, sir. Pani Pike zawiadomiła mnie przed chwilą, że dostała już te biszkopty, które u niej zamówiliśmy.

Wspomniała przy okazji, że kiedy jej mąż siedział w pubie, zjawiał się tam pan Beamish. Był bardzo serdeczny, stawiał wszystkim drinki i mówił, że wybiera się na rozmowę z panną Crosby. Niestety, powiedziano mu, że ona jest w przychodni. To pożałowania godne, że w tym miasteczku wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Pan Beamish wypił whisky, spytał, czy może zostawić przed pubem samochód, i poszedł do przychodni.

James, który zamierzał właśnie sięgnąć po plasterek szynki, odłożył nóż i widelec, wstał i gwizdnął na Toda.

- Zaraz wrócę, Cricket. Chcę zobaczyć, co się tam dzieje. Przygotuj drugie nakrycie.

Telefon od pani Crisp trochę zirytował Leonorę, ponieważ szykowała się właśnie do wyjścia. Nie miała wyboru, musiała zostać w przychodni, a potem zadzwonić do szefa i spytać go, co powinna robić.

Zaparzyła herbatę i zaczęła przygotowywać karty pacjentów, którzy mieli zjawić się wieczorem. Ponieważ nazajutrz była sobota, zastanawiała się, ile wyniesie jej tygodniowe wynagrodzenie. Przepracowała wiele dodatkowych godzin, miała więc nadzieję, że nawet po wypłaceniu pensji pani Phelps zostanie jej znaczna suma. Zamierzała porozmawiać z ojcem, a potem poprosić pana Simsa, miejscowego przedsiębiorcę budowlanego, by obejrzał cieknący dach.

Gdy usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi, uniosła wzrok znad papierów i ujrzała Tony'ego. Gwałtownie wciągnęła powietrze i odstawiła filiżankę, usiłując opanować drżenie rąk.

- Kochanie, nie myślałaś chyba, że pozwolę ci odejść, prawda? Jestem gotów błagać cię na kolanach o wybaczenie. Byłem wtedy okropnie zajęty i sam nie wiedziałem, co mówię.

- Uśmiechnął się czarująco. - Czy nie możemy zacząć od

nowa? Pozwól mi wszystko wyjaśnić, a zobaczysz, że mam rację. To zapewni nam wspaniałą przyszłość, musimy tylko wspólnie przekonać twoich rodziców.

- Odejdź - powiedziała. - Jestem zajęta. Poza tym nie chcę cię widzieć ani z tobą rozmawiać.

- Daj spokój, kochanie, przecież nadal mnie kochasz.

- Nie. Nie mogę na ciebie patrzeć. I jeśli podejdziesz jeszcze o krok bliżej, rzucę w ciebie tą filiżanką.

Tony zaśmiał się drwiąco, zrobił krok do przodu i wyrwał jej filiżankę. W tym momencie doktor Galbraith, który wszedł do poczekalni, chwycił go z tyłu za łokieć, wylewając herbatę na jego elegancki garnitur.

- Ty... - zaczął z wściekłością Tony, odwracając głowę, ale nie dokończył zdania, widząc lekarza. Ujrzał też Toda, który stał obok swego pana, szczerząc zęby i groźnie warcząc.

- Czy przerywam jakąś ważną rozmowę? - spytał uprzejmie James. - Czyżby pan Beamish znowu się pani narzucił?

- Tak... - wyjąkała. - Nie może zrozumieć, że ja nie chcę go więcej widzieć. Niech go pan stąd wyprosi.

- Zrobię to z przyjemnością. - Doktor odwrócił się do Tony'ego z promiennym uśmiechem. - Nie lubię patrzeć, jak ktoś nęka moich przyjaciół. Jestem człowiekiem łagodnym, ale kiedy wyprowadzi się mnie z równowagi, tracę panowanie nad sobą. Więc zjeżdżaj stąd, Beamish, i nie pokazuj się więcej w tej okolicy, bo będziesz miał kłopoty. I jak najszybciej oddaj to ubranie do pralni; plamy z herbaty trudno jest usunąć. Jeśli wyjdiesz spokojnie, Tod nic ci nie robi.

Tony zerknął z niepokojem na psa i bez słowa opuścił poczekalnię. Doktor zamknął za nim drzwi, a potem spojrzał na Leonorę, która siedziała przy biurku, starając się powstrzymać wybuch płaczu. Widok Jamesa sprawił jej wielką ulgę, ale czuła się upokorzona. Miała wrażenie, że on

nieustannie pomaga jej się wyplątywać z niezręcznych sytuacji i była pewna, iż uważa ją za idiotkę.

- Skoro sprawa jest załatwiona, to możemy pojechać do mnie na lunch - zaproponował James.

- Dziękuję, że pojawił się pan we właściwym momencie - powiedziała cicho, nie podnosząc wzroku. - Czy pan już wie, że pani Crisp nie może mnie zastąpić?

- Mogę odbierać telefony, bo mam przy sobie aparat komórkowy. Kiedy zjemy, odwiozę panią do domu.

- Jeśli pan pozwoli, to wolałabym zostać sama.,.

- Nie pozwolę. Gdzie się podziało pani opanowanie?

- Nie wiedziałam, że on tu przyjdzie - wymamrotała, a potem spojrzała na niego badawczo. - Jak pan się tego domyślił?

- Rozmawiałem z Cricketem - odparł z uśmiechem. - On zawsze wie, co się dzieje. Poza tym Beamish wyprzedził mnie na drodze. Myślałem, że znajdzie panią w domu, gdzie będzie pani miała wsparcie rodziców, i nie chciałem się wtrącać. Ale informacje Cricketa skłoniły mnie do zmiany planów.

- No cóż, bardzo panu dziękuję, Myślę, że udałoby mi się go pozbyć, ale... byłam bardzo zadowolona, kiedy pan przyszedł. Razem z Todem.

- Och, Tod potrafi wystraszyć każdego!

- Pan chyba też.

Kiedy weszli do jego domu, Cricket uśmiechnął się radośnie, a potem podał im doskonały lunch. Gdy na stole pojawiła się kawa, Leonora odzyskała już niemal całkowicie pewność siebie.

- Czy myśli pan, że on tu jeszcze wróci? - spytała.

- Jestem pewien, że już nie. - Podsunął jej talerz. - Proszę zjeść jeszcze jedną czekoladkę. Nie wiem, skąd Cricket je bierze, ale są bardzo dobre.

Po lunchu odwiózł ją do domu, ale tym razem nie odjechał, lecz wysiadł z samochodu.

- Chciałbym porozmawiać z pani ojcem - oznajmił.

- Oczywiście. Możemy wpuścić Toda do ogrodu, po którym biega Wilkins, i wejść do domu bocznymi drzwiami.

Idąc ciemnym korytarzem prowadzącym do kuchni, doktor Galbraith zauważył wilgoć pokrywającą ściany i dostrzegł opłakany stan stolarki.

- Rzadko bywamy w tej części domu - oznajmiła Leonora, jakby czytając w jego myślach. - Oczywiście będzie tu sucho, gdy tylko naprawimy dach.

- Stare domy wymagają wielu starań - odparł wymijająco - ale są zadziwiająco trwałe. Pewnie dlatego, że zostały kiedyś solidnie zbudowane.

- Ten dom budował mój pra-pradziadek - poinformowała go, otwierając drzwi do kuchni, w której siedziała niania. - Nie wstawaj, nianiu. Weszliśmy tędy tylko ze względu na psy. Pan doktor chce się zobaczyć z tatą.

- Czy zostanie pan na podwieczorku? - spytała staruszka.
- Niestety, nie mogę - odparł z żalem. - Muszę wracać do pracy, bo mam wiele zaległej korespondencji. Chętnie skorzystam z zaproszenia przy następnej okazji.
- Jest pan w tym domu zawsze mile widziany... Leonora zaprowadziła lekarza do gabinetu ojca, a potem weszła do salonu, gdzie zastała matkę.
- Kochanie, dlaczego tak późno? - spytała lady Crosby. - Czyżbyś miała aż tyle pracy? Dzwoniła pani Dowlings. Prosi, żebyś do niej przysłała, gdy tylko znajdziesz chwilę czasu... Chodzi o jakieś kramy, w których ma się odbywać sprzedaż losów na loterię. Nie słyszałam, jak wchodziłaś.
- Wprowadziłam doktora Galbraitha tylnymi drzwiami. Chciał się zobaczyć z ojcem.
- Ciekawa jestem, w jakiej sprawie... - Lady Crosby odłożyła książkę i spojrzała na córkę badawczo. - Czyżby ojciec był chory? Nic mi o tym nie wspominał.
- Nie, to nie ma żadnego związku z jego zdrowiem, W przychodni pojawił się dziś Tony. Myślę, że doktor chce porozmawiać z ojcem właśnie o nim.
- Och, mój Boże! Czy zachowywał się agresywnie? Chyba nie byłaś z nim sama?
- Tylko przez chwilę. Potem przyszedł doktor Galbraith i kazał mu się wynosić.
- Miała ochotę opowiedzieć matce o całym wydarzeniu, ale wiedziała dobrze, że lady Crosby ma zwyczaj ignorować niepokojące lub nieprzyjemne informacje. Postanowiła więc podzielić się nimi z nianią. Po chwili do salonu weszli obaj mężczyźni.
- Przykro mi, że miałaś kłopoty z tym Tonym, kochanie - powiedział ojciec. - Na szczęście doktor Galbraith twierdzi, że on się tu więcej nie pokaże. Co za łobuz! Udawał, że jest zakochany, żeby wyrzucić nas z naszego własnego domu...

James, który uważnie obserwował Leonorę, dostrzegł na jej twarzy rumieniec zażenowania i doszedł do wniosku, że powinna się rumienić częściej. Nawet w skromnym, codziennym stroju wyglądała bardzo ładnie. Wyobraził ją sobie w wytwornej, stylowej sukni, ozdobionej kosztownymi klejnotami...

- Musi pan do nas przyjść któregoś dnia na kolację! - zawołała lady Crosby, przerywając tok jego myśli. - Nie urządzamy już wielu przyjęć, ale zawsze chętnie widzimy u siebie przyjaciół i sąsiadów. Czy Leonora dobrze sprawuje się w przychodni?

- Tak dobrze, że chcę ją poprosić, aby została na dłużej. Kiedy pani Crisp wyzdrowieje, mogłyby dzielić obowiązki.

- Naprawdę? No cóż, dlaczego nie? Ludzie o naszej pozycji mają zobowiązania wobec mieszkańców miasteczka...

- Ma pani zupełną rację, lady Crosby - powiedział doktor Galbraith, zachowując niewzruszony wyraz twarzy. - Jestem szczęśliwy, że pani się ze mną zgadza.

Wymienił jeszcze kilka uwag z sir Williamem, a potem zaczął się żegnać. Leonora odprowadziła go do drzwi. Wpuścił Toda do samochodu i wyciągnął do niej rękę.

- O co tu właściwie chodzi? - zapytała. - Dlaczego nie raczył pan zasięgnąć mojego zdania, zanim powiadomił pan rodziców, że chce pan mi zaproponować stałą pracę? Cóż to za osobliwy obyczaj?

- Przepraszam - odparł. - Zaatakowałem panią od tyłu. Ale proszę rozważyć moją propozycję, gdy minie pani złość. I powiadomić mnie, czy pani się na nią zgadza.

- Oczywiście, że się zgadzam - oznajmiła bez namysłu.

- To świetnie. - Pomachał jej ręką i odjechał, a kiedy zniknęła z pola jego widzenia, zwrócił się do Toda. - Co mi do diabła przyszło do głowy?

Pies, który był dość zmęczony bieganiem po ogrodzie i drzemał na tylnym siedzeniu, nie zareagował.

Leonora wróciła do domu i znalazła ojca w gabinecie.

- Czy jesteś pewna, że chcesz pracować w przychodni? - spytał. - To ogranicza twoją swobodę...

- Tatusiu, ja lubię to zajęcie. Poza tym dostaję sporo pieniędzy, które wcale nie są mi potrzebne. Czy moglibyśmy za nie naprawić dach nad kuchnią? Nieustannie przecieka.

- To są twoje pieniądze, moja droga. Przecież wolisz chyba wydać je na nowe stroje, lub prezent dla mamy...

- Na to też mi wystarczy. Jest jeszcze za wcześnie, żeby kupować letnie stroje, ale prędzej czy później wyprawimy się z mamą do Londynu, żeby pochodzić po sklepach. Najpierw jednak naprawimy dach! Niech to będzie naszą tajemnicą.

- Nie mam ochoty brać pieniędzy od córki.

- Przecież to jest tylko pożyczka. Robię to z wyrachowania. Jeśli nie dokonamy kilku poprawek, dom się zawali, a wtedy niewiele mi z niego przyjdzie, kiedy zostanę jego właścicielką.

- Masz oczywiście słuszną rację, moja droga. Ale obiecaj mi, że kiedy skończymy z dachem, zaczniesz wydawać te pieniądze na siebie. Poproszę Simsa, żeby go obejrzał. Dobrze byłoby uporać się z tą sprawą jak najprędzej, dopóki mamy dobrą pogodę.

- Tylko nie mów mamie - poprosiła, całując go w policzek.

- Nie, nie! Twoja matka ma niewielkie pojęcie o remontach i podobnych sprawach. Przykro mi z powodu Tony'ego. Wiązałaś z nim swoją przyszłość...

- Tato, ta przyszłość byłaby katastrofą. Wolę pracować u doktora Galbraitha i mieszkać w naszym miasteczku. W Londynie byłabym nieszczęśliwa.

Kiedy powiedziała niani o propozycji lekarza, staruszka uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Przynajmniej zobaczysz kawałek życia, nawet jeśli to będzie tylko życie tutejszych ludzi. I trochę zarobisz. - Zerknęła na Leonorę badawczo. - Widzę, że podoba ci się praca u tego doktora. Czyżbyś go polubiła?

- Tak, chyba tak. Nie myślałam, że to kiedyś może nastąpić, ale on zyskuje przy bliższym poznaniu. Poza tym zachował się wspaniale, kiedy Tony pojawił się w przychodni.

- Wiec będziesz dyżurować rano i wieczorem?

- Tak, ale chwilowo muszę tam spędzać cały dzień; pani Crisp wróci dopiero za kilka dni. Kiedy wyzdrowieje, będzie mnie zastępować od dwunastej trzydzieści do wpół do piątej. Sobotnie popołudnia i niedziele są wolne.

- No to wszystko w porządku - oznajmiła niania, myśląc o tym, że doktor i Leonora byliby dobraną parą. - Zrobię herbatę i podam ciastka. Za chwilę musisz iść do przychodni.

Doktor Galbraith nie komentował wizyty Tony'ego podczas popołudniowego dyżuru. Gdy przyjął ostatniego pacjenta, przypomniał jej, że należy starannie zamknąć wszystkie drzwi, wszedł do samochodu i odjechał. Czuła się nieco zawiedziona, choć zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma żadnego powodu do narzekań.

Zamierzała spędzić bardzo przyjemny weekend. Wybierała się do państwa Dowlings, by omówić problemy związane z kiermaszem. Musiała też ułożyć kwiaty w kościele, gdyż przypadała właśnie jej kolej, a także pomóc matce w przygotowaniu podwieczorku dla kilku jej przyjaciółek. Zastanawiała się, czy doktor odwiedzi kobietę, która nadała imię jego psu. Najwyraźniej był do niej bardzo przywiązany i wcale tego nie ukrywał.

Pewnie zabierze ją do teatru, a potem do restauracji, myślała nie bez zazdrości. Mam nadzieję, że to miła dziewczyna. On zasługuje na dobrą żonę.

Podczas tego weekendu często o nim myślała, natomiast zupełnie zapomniała o Tonym. Kiedy zniknął z jej oczu, wymazała go ze swojej pamięci.

Jednak jej domysły dotyczące doktora Galbraitha były błędne. Spędzał weekend na farmie swej siostry, która mieszkała z mężem i trójką dzieci w pięknym starym domu, położonym nieopodal miasteczka Napton w hrabstwie Warwickshire. Zamiast chodzić po teatrach i restauracjach, jadał posiłki w staroświeckiej kuchni i grał w piłkę z małymi siostrzeńcami. Kiedy usiadł, by odpocząć, siostrzenica wspięła się na jego kolana i zaczęła go wypytywać o Toda.

- Czuje się doskonale - zapewnił ją z uśmiechem. - Ale pewnej młodej damie nie podoba się imię, które mu nadałaś.

- Cóż to za młoda dama? - spytała jego siostra.

- Piękna dziewczyna, która ma ciemne włosy i ostry język. Oraz dużo zdrowego rozsądku.

- Czy pochodzi z miasteczka?

- Owszem. Jej przodkowie byli kiedyś jego właścicielami. Mieszka z rodzicami w cudownym starym domu, który podupada z braku pieniędzy na remonty.

- Mów dalej - ponagliła go siostra. - Chcę wiedzieć, czy jest zamężna albo zaręczona i czy ci się podoba.

- Miała wyjść za mąż, ale na szczęście ślub został odwołany. Nie jest też zaręczona, przynajmniej na razie, Tak, podoba mi się. W wyniku szeregu... zbiegów okoliczności, udało mi się ją namówić, żeby została moją recepcjonistką. Pracuje bardzo dobrze. Potrzebuje pieniędzy na naprawę dachu.

- Ale skoro jest córką miejscowego dziedzica...

- Posłużyłem się podstępem. Wmówiłem jej rodzicom, że będzie to z jej strony działalność dobroczynna na rzecz miejscowej społeczności.

- Widzę, że zadałeś sobie sporo trudu. James rozsiadł się wygodniej i zamknął oczy.

- To prawda. Ale najzabawniejsze jest to, że sam nie rozumiem, w jakim celu. Czy nie nadeszła już pora podwieczorku?

Kiedy w niedzielę wieczorem wsiadał do samochodu, podszedł do niego szwagier.

- Molly chciałyby cię odwiedzić - oznajmił. - Czy możemy do ciebie przyjechać?

- Jeffrey, Molly chce głównie obejrzeć moją nową recepcjonistkę - odparł James z uśmiechem. - Oczywiście, będziecie wszyscy mile widziani. Przyjedźcie w sobotę. W niedzielę jest zajęta, bo chodzi do kościoła i wydaje uroczysty lunch.

Wsiadł do samochodu, a Tod ułożył się z tyłu.

- Zrobię, co będę mógł, ale nie jestem pewien, czy ona zechce przyjść. Nie jest pewna, czy mnie lubi. Byłem świadkiem kilku kłopotliwych dla niej sytuacji. - Roześmiał się pogodnie. - Kiedy widzieliśmy się po raz pierwszy, upadła na poboczu tuż przed moim samochodem. Była wściekła, a potem całkowicie mnie rozbroiła, przepraszając za swoją arogancję. Na pewno wam się spodoba.

Jadąc z powrotem do Pont Magna, rozważał wszystkie zalety Leonory i wspominał ich dotychczasowe spotkania.

- Ona zaczyna za często pojawiać się w moich myślach - powiedział do Toda, szarpiąc go delikatnie za ucho. - Chyba dlatego, że nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny jak ona. Ale wcale nie jestem pewien, czy to dobrze.

Kiedy więc w poniedziałek rano Leonora zajrzała do gabinetu, by go powitać, była zaskoczona jego chłodem.

Pewnie się z nią pokłócił, myślała, układając karty pacjentów, którzy tego dnia zajęli wszystkie miejsca w poczekalni. Nie miała jednak czasu na dłuższe rozważania, bo musiała zaopiekować się kościelnym, który spadł z kilku ostatnich stopni prowadzących na dzwonnice i był mocno poobijany.

Kiedy pacjenci wyszli, James nie czekał na swą poranną kawę, lecz natychmiast ruszył w kierunku drzwi, by rozpocząć wizyty domowe.

- Ma pani mój numer telefonu - przypomniał jej. - Po powrocie zajrzę tu i zabiorę panią na lunch do domu.

- Dziękuję, ale przyniosłam z sobą kanapki - odparła, dostosowując się do jego obojętnego sposobu bycia. - Na wieczorny dyżur zapisało się wielu pacjentów. Czy jeśli zadzwoni ktoś jeszcze... ?

James zerknął pośpiesznie na listę zgłoszeń.

- Mogę przyjąć jeszcze dwie osoby. Inni będą musieli poczekać do rana i tak mamy pełne ręce roboty. A ten Beamish twierdził, że to łatwa praca!

Dostrzegł rumieniec wpełzający na twarz Leonory i przyszło mu do głowy, że być może ona nadal kocha Tony'ego. Zmarszczył brwi tak groźnie, że spojrzała na niego ze zdumieniem, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, wyszedł. Uporządkowała dokumenty, a potem zrobiła kawę i zabrała się do kanapek przygotowanych przez nianię. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Dzwonię z farmy Willisów. Chodzi o dziecko. Jest bardzo chore i wygląda coraz gorzej. Proszę jak najszybciej przysłać pana doktora!

- To Janice, prawda? - spytała Leonora, biorąc do ręki pióro. - Które dziecko jest chore? Macie chłopca i dziewczynkę, prawda?

- Mniejsza o to. Proszę jak najszybciej przysłać lekarza.

- Nie ma go w przychodni, ale zanim go tam skieruję, muszę mu powiedzieć, o co chodzi. Które dziecko jest chore?

- To Billy. Wygląda bardzo marnie i ciągle płacze.

- Czy dziewczynce nic nie dolega?

- Chyba nie. Gdzie jest ten lekarz?

- Zaraz do niego zadzwonię. Czy jest tam twoja matka?

- Nie. Pojechała na targ do Radstock, a mężczyźni pracują w polu.

- Więc wracaj do dzieci, Janice. Poszukam lekarza.

Odkładała właśnie słuchawkę, kiedy w drzwiach pojawił się doktor Galbraith.

- To była Janice - poinformowała go Leonora. - Jedno z bliźniąt jest chore, a ona nie może ruszyć się z domu. Mężczyźni są w polu, a matka pojechała do Radstock.

- Czy powiedziała, co mu dolega?

- Tylko tyle, że kiepsko wygląda i ciągle płacze. Doktor podszedł do szafki, wyjął z niej potrzebne mu narzędzia i włożył je do swej torby.

- No dobrze, jedźmy - powiedział, a ona bez słowa wyszła za nim do samochodu.

- Muszę pana uprzedzić, że nie mam pojęcia o opiece nad dziećmi - wyznała, kiedy wyjechali z miasteczka.

- Nie szkodzi. Jedźcie pani jako moja przyzwoitka.

- Przyzwoitka? - spytała z niedowierzaniem. - Po co?

- Czy widziała pani Janice po jej powrocie z Londynu?

- Nie. Ale ona była spokojną, skromną dziewczyną. Miała miłą buzię i wyglądała dość niepozornie...

Zignorował jej pytające spojrzenie i nie odzywał się, dopóki nie dojechali na miejsce. Kiedy wysiadali z samochodu, w drzwiach domu pojawiła się młoda dziewczyna. Leonora z trudem rozpoznała w niej Janice. Jej włosy ufarbowane były na jaskrawy kolor, twarz pokrywała gruba warstwa makijażu. Z nosa i z uszu zwisały kolczyki.

Miała na sobie najkrótszą spódniczkę, jaką Leonora kiedykolwiek widziała.

- Gdzie jest chłopiec? - spytał doktor uprzejmym, lecz rzeczowym tonem. - Czy ma gorączkę? Albo wymioty?

Janice zaprowadziła ich na górę. Dzieci leżały w łóżeczkach. Dziewczynka spała, a Billy darł się na cały głos, machając drobnymi piąstkami. James wziął go na rękę.

- Jest zupełnie mokry - zauważył. - Proszę przynieść czyste ubranko; musimy go przede wszystkim przebrać.

Janice podeszła do komody i zaczęła otwierać szuflady. Doktor wręczył niemowlę Leonorze, która domyśliła się, że ma je rozebrać. Położyła więc chłopca na łóżeczku i delikatnie zdjęła z niego kaftanik, a potem odwinęła mokrą pieluchę, odsłaniając zaczerwienione pośladki.

- Trzeba go wykąpać...

- Widzę, że nie myła pani dziś dzieci - oznajmił James, zwracając się do Janice. - Kiedy ostatni raz zmieniała im pani pieluszki? Proszę przygotować wanienkę. Wykąpiemy dzieci, a potem będę mógł je zbadać. Kiedy była tu pielęgniarka?

- Wczoraj. Ale ta wścibska stara Parker działa mi na nerwy. Powiedziałam jej, żeby tu więcej nie przychodziła.

- Czy twoja matka o tym wie?

- Mama nie ma o niczym pojęcia. - Janice wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju. Po chwili przyniosła małą wanienkę i ciepłą wodę.

Podczas gdy matka kąpała dzieci, Leonora przygotowała dla nich czyste ubranka. Potem rozłożyła na kolanach ręcznik, na którym położono chłopca, by doktor mógł obejrzeć jego odparzoną skórę. Chłopiec wyrywał się jak węgorz i wrzeszczał ze wszystkich sił.

- Kiedy one dostały coś do jedzenia? - spytał James.

- Och, nie wiem, chyba dziś rano. Karmiła je mama, a ona wcześniej wychodzi z domu.

- Więc nakarm je teraz. Nic im nie dolega. Były głodne, brudne i mokre. Czy chcesz, żeby zabrano je na kilka tygodni do dziecięcego szpitala, gdzie będą miały dobrą opiekę?

- Tak, to chyba dobry pomysł. Przecież ja nie poradzę sobie z dwójką bachorów. Zwłaszcza że wcale ich nie chciałam.

- Można je oddać do adopcji.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Janice poszła po butelki z jedzeniem, a doktor Galbraith wyjął telefon. Billy znowu rozplakał się, więc Leonora zaczęła go kołysać na rękach. Kiedy Janice wróciła, wzięła od niej jedną butelkę i przysunęła ją do ust chłopca, który pił pokarm tak łapczywie, jakby był bardzo wyголоdzony.

James odbył kilka rozmów, a potem schował telefon.

- Pielęgniarka będzie tu po południu - oznajmił - i zajmie się dziećmi do wieczora. Masz robić wszystko według jej wskazówek. Postaram się, żeby Billy i Daisy jak najszybciej trafili do szpitala. A wieczorem przyjadę, żeby porozmawiać z twoimi rodzicami. Możemy jechać - zwrócił się do Leonory. - Pielęgniarka zadba o to, żeby dzieciom niczego nie brakowało.

W drodze powrotnej Leonora straciła panowanie nad sobą.

- Jak ona może traktować dzieci w ten sposób? - spytała ze łzami w oczach. - Przecież potrzeba im nie tylko ciepła i jedzenia, ale również odrobiny miłości!

- Zostaną zaadoptowane przez ludzi, którzy będą je kochać

- odparł. - Porozmawiam z jej rodzicami, ale podejrzewam, że gdy tylko pozbędzie się bliźnięt, znów odejdzie z domu. Tymczasem zajmie się nimi pielęgniarka, a ja postaram się, żeby trafiły do szpitala jutro lub pojutrze. - Zerknął na zegarek. - Jest trzecia. Chwała Bogu, że nikt nie dzwonił. Zjedzmy lunch.

- Mam kanapki... - zaczęła.
- Cricket znajdzie coś lepszego.

Odniosła wrażenie, że jądanie posiłków w jego domu staje się utartym zwyczajem, i poczuła się niezręcznie.

- Jeśli pan pozwoli, to wolałabym pojechać do przychodni.

- Nie pozwolę. I proszę do mnie mówić James. Przecież jesteśmy kolegami, prawda?

- Chyba tak... - odparła z wahaniem. - Na pewno nie będzie pan miał nic przeciwko temu?

- Ależ skąd. To nam ułatwi współpracę, a pewnie będziemy widywać się dosyć często, przynajmniej przez jakiś czas.

Czy to znaczy, że on już szuka następnej recepcjonistki?

- pomyślała z niepokojem. Fachowej pielęgniarce, która umie odróżnić niestrawność od ataku serca? I uchroni go od pacjentów, którzy przychodzą, choć nic im nie dolega?

- W porządku, James - odparła posłusznie. A ponieważ była głodna, nie nalegała więcej, by odwiózł ją do przychodni.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pani Crisp wróciła do pracy dwa dni później. Leonora była z tego bardzo zadowolona. Lubiła pracę w przychodni, ale lunche w pięknym domu doktora wprawiały ją w zakłopotanie.

Przestrzegała wyznaczonych przez niego godzin pracy i ograniczyła rozmowy do tematów ściśle służbowych. Stwierdziwszy, że jemu najwyraźniej odpowiada taki stan rzeczy, poczuła się trochę zawiedziona. Odetchnęła z ulgą, gdy pewnego dnia zatrzymał się obok jej biurka, by ją powiadomić, że Billy i Daisy są już w szpitalu, a ich matka spakowała rzeczy i ponownie opuściła dom rodziców.

- Jak ona mogła zostawić swoje dzieci? - spytała z niedowierzaniem.

James uśmiechnął się smutno i potrząsnął głową, a potem wyszedł z poczekalni, by rozpocząć wizyty. Kiedy wrócił do przychodni, Leonora zamierzała właśnie ją opuścić.

- Dzień dobry - powiedział, zwracając się do pani Crisp, a potem dodał jakby mimochodem: - Leonoro, w sobotę przyjeżdża do mnie moja siostra. Chciałbym, żebyś zjadła z nami podwieczorek.

Gdyby byli sami, pewnie znalazłaby jakiś wybieg. Zaproszenie było kuszące, ale nie chciała przenosić ich kontaktów służbowych na grunt towarzyski. Jednak niezręcznie było jej odmówić w obecności pani Crisp. Zresztą James nie dał jej takiej szansy, bo zawołał przyjaznym tonem:

- Około trzeciej! A więc do zobaczenia;

- Ciekawa jestem, kogo jeszcze zaprosił - rzekła pani Crisp, kiedy zniknął za drzwiami. Leonora poczuła ulgę, a potem ukłucie zawodu. Była teraz pewna, że zastanie tam połowę mieszkańców Pont Magna. Ale przecież tego właśnie chciała...

Kiedy oznajmiła rodzicom, że wybiera się na podwieczorek do doktora Galbraitha, matka zmarszczyła brwi.

- To dziwne, że nie zaprosił również ojca i mnie - mruknęła z przekąsem. - Czy będzie tam wiele osób?

- Nie mam pojęcia. Wspomniał coś o swojej siostrze, która przyjeżdża na weekend. Wiem od pani Crisp, że ona ma trójkę dzieci.

- W takim razie i tak musiałabym odmówić. Obecność dzieci wyklucza konwersację. Ale on zapewne wyda niebawem następną kolację. Czy poznałaś jakichś jego przyjaciół?

- Mamo, ja urzęduję w przychodni, więc nie mam z nimi kontaktu. - Po namyśle postanowiła nie wspominać o lunchach, które jadła w jego domu. Lady Crosby mogłaby opacznie zrozumieć intencje doktora Galbraitha i podejrzewać, że interesuje się jej córką. A przecież on traktował ją po prostu jak koleżankę z pracy.

Gdy nadeszła sobota, włożyła turkusową suknię z dzianiny, upięła włosy w kok, zrobiła staranny makijaż i wyruszyła piechotą do domu doktora. Wchodząc na podjazd, westchnęła z odrobiną zazdrości. Zadbany ogród, pełen wiosennych kwiatów, wyglądał bardzo pięknie. Drzwi były otwarte. Kiedy do nich dotarła, wybiegli przez nie dwaj mali chłopcy. Zatrzymali się gwałtownie na jej widok i wyciągnęli ręce na powitanie.

- Ja jestem Paul, a to jest George - powiedział starszy. - . A ty masz na imię Leonora, prawda?

- Skąd wiecie?

- Mówił nam o tobie wuj James. Prosimy do środka. Gdy znalazła się w przedpokoju, wyszedł jej na spotkanie gospodarz. Jego powitanie było przyjazne, choć zdawkowe.

- Straszne tu zamieszanie; mam nadzieję, że cię to nie przerazi. Chciałbym, żebyś poznała moją siostrę i jej męża. Jest tu gdzieś jeszcze jedno dziecko, moja siostrzenica.

Weszli do salonu, Leonora przywitała się z Molly i Jeffreyem, a potem przyklękła, by uścisnąć dłoń dziewczynki.

- Mam dwa lata - wymamrotało dziecko, podnosząc na nią wzrok. - Tod jest w połowie mój.

- To wspaniale - odparła Leonora. - Ja też mam psa. Nazywa się Wilkins.

- Chodź ze mną, to pokażę ci Toda - poprosiła dziewczynka, chwytając ją za rękę.

Wszyscy wyszli do ogrodu i zaczęli rozmawiać. Atmosfera była tak swobodna, że Leonora poczuła się jak w domu. Dzieci uganiały się po trawie, Tod biegał za piłką, a dorośli wymieniali uwagi dotyczące poszczególnych roślin. W pewnym momencie Molly wzięła Leonorę pod rękę i zaczęła jej opowiadać o swych dzieciach i życiu na farmie.

- Ja nie mam pojęcia o rolnictwie, a Jeffrey ma rządę, więc nie jesteśmy właściwie farmerami - oznajmiła ze śmiechem. - Ale lubimy ten stary dom, a dzieci mają mnóstwo miejsca do zabawy. Jeździmy też czasem konno. Choć mamy do pomocy nianię, dzieci wymagają stałej opieki. Kiedy przyjeżdżają tutaj, są grzeczne jak aniołki, ale w domu... Uwielbiają Jamesa, a on jest bardzo dobrym wujkiem. Znosi dobrze ich towarzystwo, bo wychowywał się w wielodzietnej rodzinie. Czy ci mówił, że mamy cztery siostry? Dwie mają już własne dzieci, ale mieszkają daleko; jedna w Szkocji, druga w Kornwalii. Najmłodsze są w Kanadzie z naszymi rodzicami; niedługo zaczną studia.

- Chciałabym mieć brata i tyle sióstr. To musi być cudowne...

- Oczywiście! I wszyscy bardzo się lubimy. A oto Cricket, który pewnie podał już podwieczorek.

Posiłek upłynął w czarującej atmosferze. Siedzieli przy dużym, okrągłym stole, a Cricket z dumą serwował przyrządzone przez siebie smakołyki: małe kanapki, ciastka i wspaniały czekoladowy tort. Leonora poczuła w pewnej chwili ukłucie żalu. Zdała sobie sprawę, że nie mając tak dużej liczby krewnych, nie doświadczyła w pełni rodzinnego ciepła i poczucia wzajemnej życzliwości. Ale nie miała czasu na niewesołe rozmyślenia, bo siedzący po obu stronach chłopcy całkowicie pochłaniali jej uwagę.

Po podwieczorku bawili się w chowanego. Leonora biegła po pokojach, wspinała się po schodach, zaglądała do wszystkich kątów domu i czuła się szczęśliwa. Skradała się właśnie po stopniach tylnej klatki schodowej, szukając odpowiedniej kryjówki, gdy stanęła twarzą w twarz z Jamesem. Przez chwilę trwali oboje nieruchomo, patrząc sobie w oczy.

- Jak się bawisz? - spytał z uśmiechem.

- Doskonale. Ale musimy się schować...

- Przy naszej posturze nie przyjdzie nam to łatwo - stwierdził pogodnym tonem.

Zdała sobie nagle sprawę, że w porównaniu z filigranową Molly ona sama może wydawać się gruba. Cała jej radość prysła jak bańka mydlana.

- Jesteś nieuprzejmy - wycedziła i zamierzała odejść, ale on wyciągnął rękę i delikatnie zagroził jej drogę.

- Bardzo cię przepraszam. Chciałem powiedzieć tylko tyle, że lubię dobrze zbudowane kobiety. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - A teraz uciekaj, żeby się schować. Na końcu tego korytarza jest ogromna szafa.

Miała ochotę wybiec z tego domu, by znaleźć się jak najdalej od jego właściciela, ale nie pozwalały jej na to zasady dobrego wychowania. Schowała się więc w szafie i została po chwili znaleziona przez jednego z chłopców.

Nadeszła pora, o której dzieci chodziły spać. Leonora pocałowała je na dobranoc, pożegnała się uprzejmie z Molly i Jeffreyem, chłodno podziękowała Jamesowi za miłe przyjęcie i ruszyła w kierunku drzwi. James podążył za nią.

- Odprowadzę cię - rzekł przyjaźnie. - Dopóki dzieci nie pójdą spać, w tym domu i tak nie da się wytrzymać.

Nie miała ochoty na jego towarzystwo, ale nie mogła przecież uciekać przed nim w obecności wszystkich. Szła więc z dumnie podniesioną głową, zachowując demonstracyjne milczenie.

- O co jesteś taka wściekła? - spytał po chwili. - Czy o to, że mówiłem o twojej posturze, czy o ten pocałunek?

- O jedno i drugie - warknęła. - I wolałabym iść do domu sama.

- Przecież jesteś dobrze zbudowana - stwierdził. - A nawet cudownie zbudowana. Każdy musi to przyznać.

- Nie powinieneś tak do mnie mówić - mruknęła, przyspieszając kroku i rumieniąc się gwałtownie.

- Czy nie powinienem był cię również pocałować? Sprawilo mi to wielką przyjemność.

Mnie też, pomyślała, ale nie miała zamiaru mu o tym mówić. Milczała wyniośle aż do chwili, gdy minęli dom pani Pike.

- Naprawdę nie musisz mnie odprowadzać - powiedziała, widząc właścicielkę za zamkniętymi drzwiami sklepu.

James zatrzymał się i spojrzał jej w oczy.

- Nie wiem, co wprawilo cię w tak przekorny nastrój. Przecież jesteśmy kolegami, prawda? A ja myślałem, że również przyjaciółmi. - Uśmiechnął się szeroko. - Ciekaw jestem, co o nas myśli pani Pike.

- Czy nadal na nas patrzy? Och, panie doktorze...

- Mów do mnie James.

- James, jesteś niemożliwy... - Urwała, uświadamiając sobie, że on wcale nie jest niemożliwy. Że po prostu wyśmiewa się łagodnie z jej niemądrej reakcji na jego pocałunek. Że wolałaby go nigdy nie spotkać. I że chyba jest w nim zakochana. Nie miała pojęcia, dlaczego zdała sobie z tego sprawę dopiero teraz, na głównej ulicy miasteczka, na oczach przyglądających im się zza firanek sąsiadów.

Szli obok siebie w milczeniu. Nagłe odkrycie przyprawiło ją o zawrót głowy. Doszła do wniosku, że tak właśnie wygląda prawdziwa miłość, że to, co odczuwała do Tony'ego, było tylko przelotnym zauroczeniem. Miała ochotę wyznać to Jamesowi, ale uznała ten pomysł za absurdalny. Zamiast tego, zaczęła coś mówić na temat dzieci jego siostry.

Kiedy dotarli do domu, James porozmawiał chwilę z jej rodzicami, a potem szybko się pożegnał i wyszedł.

- Kto był na tym podwieczorku? - spytała lady Crosby. - Jestem pewna, że on ma wielu przyjaciół.

- Jego siostra z mężem i trójka ich dzieci.

- Nikt więcej? To dziwne. Czy bardzo się wynudziłaś, kochanie?

- Nie. Bawiliśmy się w chowanego. Te dzieci są czarujące. - Leonora uśmiechnęła się do własnych myśli. - Jedliśmy podwieczorek wszyscy razem, przy okrągłym stole w jadalni.

- Czy oni nie mają niańki?

- Mają, ale dali jej wolne popołudnie.

Lady Crosby sięgnęła po książkę.

- No cóż, skoro się nie nudziłaś... Ja uznałabym to popołudnie za stracone. Ubawiłabyś się bardziej, gdybyś poszła do państwa Dowlings. Mieszka u nich siostrzenica, piękna i bardzo bogata dziewczyna. Dziwię się, że nie zaprosili doktora Galbraitha.

Leonora poczuła natychmiastową awersję do siostrzenicy państwa Dowlings, ale nie zdradziła matce tego uczucia.

- Pójdę sprawdzić, czy niania nie potrzebuje pomocy przy kolacji - oznajmiła i poszła do kuchni. Ale ponieważ wszystko leciało jej z rąk, niania poprosiła ją, by wzięła Wilkinsa na spacer.

- Nie wiem, co panienkę opętało - mruzczała. - Zachowuje się panienka tak, jakby miała ręce z gliny.

Wyszła więc z psem do parku, a nie mając pod ręką nikogo innego, zwierzyła mu się ze swoich uczuć. Wylała nawet przy tym kilka łez.

- Zobaczę go w poniedziałek - pocieszyła się w końcu, wycierając nos chusteczką.

Tej nocy budziła się kilka razy. Myślała o Jamesie. Bardzo chciała go zobaczyć, a jednocześnie obawiała się tego spotkania. Nie była pewna, czy potrafi zachować obojętność, traktować go tak, jakby nic się nie stało. Mogła oczywiście zrezygnować z pracy, ale wtedy ich kontakty zostałyby zerwane. Poza tym pan Sims miał w poniedziałek zacząć remont, więc potrzebowała pieniędzy. Rozmyślała o tym wszystkim bardzo długo, aż w końcu zasnęła i rano obudziła się z ciężką głową.

Poniedziałek minął bez większych zakłóceń. Poczekalnia od rana była pełna, więc kiedy pojawił się doktor Galbraith, mieli czas tylko na zdawkowe powitanie. Gdy skończył przyjmować pacjentów, rozpoczął wizyty domowe, nie czekając nawet na filiżankę kawy. Leonora uporządkowała dokumenty, a gdy tylko pojawiła się pani Crisp, poszła do domu.

Skoro potrafiłam przetrwać ten dzień, to zostanę w tej pracy, dopóki on nie znajdzie bardziej odpowiedniej recepcjonistki, myślała, idąc ulicami miasteczka. Pan Sims będzie naprawiał dach przez trzy tygodnie; gdy skończy,

wymyślę jakiś pretekst i odejdę. W końcu sam powiedział, że przyjmuje mnie tylko na jakiś czas.

Nie chciała wybiegać myślami zbyt daleko, gdyż przyszłość bez Jamesa wydawała się jej niewyobrażalna.

Przez dwa tygodnie witała go i żegnała bardzo chłodno, starając się nigdy nie zostać z nim sam na sam. On traktował ją uprzejmie, ale zachowywał przyjazną rezerwę. Zdawał już sobie sprawę z tego, że jest w niej zakochany i że chciałby ją poślubić, ale nie zamierzał przyspieszać biegu wydarzeń. Wdział, że Leonora przeżywa jakiś kryzys, ale jako człowiek całkowicie pozbawiony próżności, nie domyślał się jego źródeł.

Pan Sims, zakończywszy remont dachu, zebrał narzędzia, przyjął czek i odjechał. Leonora, nie mając już pretekstu do pozostawania w przychodni, postanowiła znaleźć wyjście z sytuacji, która dla niej stawała się coraz bardziej niezręczna. Kiedy James zaproponował jej wspólny lunch, odmówiła tak stanowczo, że uniósł ze zdziwienia brwi, a ona zaczęła się tłumaczyć, chcąc złagodzić ostrą wypowiedź.

- To znaczy... bardzo ci dziękuję, ale obiecałam, że jak najszybciej wrócę do domu. Mam mnóstwo roboty.

- Oczywiście - odparł. - Może innym razem...

Potem zaczął rozmawiać o jednym z pacjentów, który chciał zmienić godzinę wizyty. Leonora uświadomiła sobie, że tak dłużej być nie może. Że musi znaleźć jakieś wyjście. Tymczasem wyjście znalazło się samo.

Gdy następnego dnia wróciła do domu na lunch, zastała nianię w kuchni. Staruszka miała zaczerwienioną twarz i paskudnie kaszłała.

- Jesteś przeziębiona - rzekła Leonora i natychmiast położyła ją do łóżka, a potem podała gorącą herbatę i aspirynę. - Masz leżeć, nianiu. Ja zajmę się lunchem i

podwieczorkiem, a po dyżurze przygotuję kolację. Nie wstawaj!

- Zaraz mi przejdzie - mruknęła niania i zapadła w sen.

Na wieść o niedyspozycji niani lady Crosby skrzywiła się z niezadowoleniem.

- Och, biedna staruszka. Czy myślisz, że to grypa? Nie będę się do niej zbliżać; wiesz, jak łatwo się zarażam. Mam nadzieję, że dasz sobie radę, kochanie. Dziś wieczorem możemy zjeść jakiś prosty posiłek. Chyba nie ma potrzeby dzwonić po doktora Galbraitha?

- Jeśli niania nie poczuje się do jutra lepiej, na pewno trzeba będzie go wezwać, mamó.

- Oczywiście, oczywiście, należy jej zapewnić opiekę. Ale moim zdaniem to tylko zaziębienie. Ona nigdy nie choruje.

Leonora podała lunch, wyniosła naczynia i sprzątnęła kuchnię. Potem zajrzała do niani, która była nadal pogrążona we śnie.

W końcu obejrzała zawartość lodówki i zaczęła przygotowywać kolację. Przed wyjściem do przychodni podała niani dzbanek z lemoniadą i poprawiła jej poduszki. Poprosiła też matkę, by od czasu do czasu do niej zaglądała.

- Nie musisz wchodzić do jej pokoju - powiedziała. - Sprawdź tylko, czy nic jej się nie dzieje.

- No dobrze, skoro nikt inny nie może się nią zająć... Ale co mam zrobić, jeśli ona nagle poczuje się gorzej?

- Jestem pewna, że dasz sobie radę, mamó, a ja wrócę za dwie godziny.

- To okropne, że musisz pracować, kochanie - stwierdziła matka płaczliwym głosem. - I pomyśleć tylko, że miałaś wyjść za Tony'ego, który zapewniłby ci spokojną przyszłość.

Leonorze przyszedł do głowy cały szereg odpowiedzi, ale żadna z nich nie wydała jej się stosowna.

W przychodni nie było tego dnia wielu pacjentów. Gdy tylko ostatni z nich wyszedł, z ulgą spojrziała na zegar i zaczęła pospiesznie porządkować papiery.

- Czy wybierasz się gdzieś wieczorem? - spytał James obojętnym tonem.

- Och, nie. Niania jest przeziębiona, więc muszę podać rodzicom kolację. Położyłam ją do łóżka.

- Ona rzadko choruje, prawda? To dzielna staruszka.

- Jest bardzo kochana - odparła. - Nie wiem, jak dalibyśmy sobie bez niej radę,

- W takim razie nie zwlekaj. Ja zamknę przychodnię. Gdyby jej się pogorszyło, daj mi znać.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby.

Kiedy wróciła do domu, niania już nie spała, ale była bardzo osłabiona i miała straszne pragnienie.

- Zaraz przyniosę ci jeszcze trochę lemoniady - obiecała Leonora i pobiegła do kuchni. Podała kolację rodzicom i niani, a przed zaśnięciem zmusiła staruszkę do połknięcia dwóch tabletek aspiryny.

Obudziła się około trzeciej w nocy, czując dziwny niepokój. Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do pokoju niani. Staruszka, nękana atakami kaszlu, z trudem łapała oddech. Mamrotała coś do siebie i wydawała się nie całkiem przytomna.

Leonora pobiegła do telefonu. Słyszając spokojny głos Jamesa, odetchnęła z ulgą.

- James, chodzi o nianię. Ma gorączkę, nie może oddychać i... i chyba mnie nie poznaje.

- Otwórz drzwi frontowe i wracaj do niej. Będę za dziesięć minut.

Zjawił się jeszcze wcześniej. Był nieogolony i nieuczesany, ale zachowywał się tak rzeczowo i spokojnie,

jakby przebywał w gabinecie. Pochylił się nad nianią i zbadał ją.

- Zapalenie płuc - oznajmił po chwili. - Wstrzyknę jej antybiotyki i postaram się zdobyć łóżko w szpitalu.

- Będzie tam nieszczęśliwa - westchnęła Leonora.

- W tej chwili i tak nie bardzo wie, gdzie jest - odparł. - Umieścimy ją tam tylko na kilka dni, dopóki antybiotyki nie zaczną działać. Potem zabierzemy ją do domu.

Wyjął telefon komórkowy i wystukał jakiś numer. Po chwili rozmowy włożył aparat do kieszeni.

- Przyjmie ją szpital w Bath. Niedługo będzie tu karetka. Spakuj rzeczy, które mogą jej być potrzebne.

- Czy mogę jechać z nią?

- Zawiozę cię. Chcę się upewnić, że niczego jej nie brakuje. Mam nadzieję, że zdążymy wrócić na poranny dyżur.

Leonora pobiegła do swego pokoju, by się ubrać, a potem spakowała kilka nocnych koszul niani oraz jej szlafrok, pantofle i przybory toaletowe. Po chwili namysłu włożyła jeszcze do torby Biblię, która zawsze leżała na nocnym stoliku staruszki, oraz jej okulary. Potem poszła do kuchni i zaparzyła herbatę.

Nie zdążyli wypić jej do końca, kiedy przyjechała karetka. Sanitariusze ułożyli nianię na noszach i przenieśli ją do ambulansu, który natychmiast ruszył w drogę. James i Leonora jechali za nim, starając się nie tracić go z oczu.

- Czy często musisz wstawać do chorych w nocy?

- Częściej niżbym sobie życzył. Jak sobie poradzisz z prowadzeniem domu? ,

- Och, to nic trudnego. Mamy teraz panią Phelps, która przychodzi z miasteczka, więc poradzę sobie bez trudu.

Kiedy dojechali na miejsce, nianię zawieziono na oddział, a doktor Galbraith odbył rozmowę z dyżurnym lekarzem. Po

dłuższej chwili wszedł do poczekalni, w której siedziała Leonora.

- Możemy już jechać - oznajmił. - Ona jest w dobrych rękach. Odwiedzimy ją wieczorem.

Podróż powrotna upłynęła im w milczeniu. Kiedy dotarli do Pont Magna, James zajechał pod dom jej rodziców.

- Uczesz się i odśwież, a ja przyjadę po ciebie za pół godziny - powiedział. - Zjesz śniadanie u mnie, a potem pojedziemy do przychodni.

- Ale ja muszę podać śniadanie rodzicom...

- Myślę, że twoja matka potrafi raz w życiu przygotować je sama - odparł. - Proszę cię, nie spieraj się ze mną. Mamy przed sobą cały dzień pracy.

- Dobrze, James - powiedziała tak uległym tonem, że spojrzał na nią z nie ukrywanym zdumieniem.

Rodzice jeszcze spali. Leonora pospiesznie wzięła prysznic, ubrała się i uczesała oraz zrobiła makijaż. Potem poszła na górę, by obudzić rodziców i wyjaśnić im, co się stało.

- Wrócę w porze lunchu - zapowiedziała. - Musisz tylko podać śniadanie, mamo.

- Zrobię, co mogę, choć nie czuję się najlepiej... - westchnęła lady Crosby.

- Moja droga, nawet ja potrafię ugotować jajko - przerwał jej z irytacją mąż. - Przykro mi z powodu niani. Czy jest bardzo chora?

- Niestety tak, tato. Muszę już pędzić. Postaram się jak najszybciej wrócić.

Wybiegła z domu w chwili, w której rolls-royce Jamesa zatrzymywał się przed drzwiami. Gdy dojechali na miejsce, Cricket powitał ich z uśmiechem, a potem podał im śniadanie. Leonora zjadła wielką porcję jajecznicy na bekonie, popijając ją dwoma filiżankami kawy. Kiedy serdecznie podziękowała

Jamesowi za jego pomoc i opiekę, on kiwnął tylko głową. Zrobił to w sposób tak obojętny, że zapomniała o radosnym podnieceniu, jakie odczuwała w jego towarzystwie, i na nowo popadła w przygnębienie.

- Ale czego mogłam się spodziewać? - mruknęła do siebie, wsiadając ponownie do samochodu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W przychodni nie było wielu pacjentów, więc już około jedenastej poczekalnia opustoszała. Leonora zrobiła kawę, lecz James podziękował za nią i wyszedł, mówiąc zdawkowo:

- Do zobaczenia wieczorem.

Jej zmienniczka zjawiała się punktualnie, więc Leonora opowiedziała jej pospiesznie o nocnej wyprawie do Bath. Potem ruszyła w kierunku drzwi, ale zatrzymał ją głos pani Crisp.

- Byłabym zapomniała... Nie czytała pani pewnie dzisiejszej gazety. Doktor zamieścił w niej ogłoszenie. Poszukuje recepcjonistki na pół etatu. Będzie pani pewnie zadowolona, pozbywając się tej pracy, prawda?

- Mam nadzieję, że kogoś znajdzie - odparła pogodnym tonem Leonora, starając się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Muszę już iść. Postaram się wrócić punktualnie.

Zastała matkę w kuchni. Lady Crosby miotała się bezradnie, otwierając kolejne szuflady.

- Och, kochanie, dobrze, że jesteś, bo nie mogę niczego znaleźć - zawołała płaczliwym głosem. - Czy zrobisz lunch?

Zjedli go w kuchni, co wywołało u pani domu kolejny atak depresji.

- Chyba pójdę się położyć, bo czuję nadchodzącą migrenę - oznajmiła, znikając za drzwiami.

Sir William pomógł córce sprzątnąć ze stołu.

- Tato, wybieram się wieczorem do szpitala z doktorem Galbraithem - powiedziała. - Przygotuję wszystko do kolacji, a mama będzie musiała ją tylko podać.

- Oczywiście, oczywiście. Ja też odwiedzę nianię za kilka dni, gdy poczuje się trochę lepiej. Mam nadzieję, że poradzisz sobie z tym nawałem pracy - dodał niepewnie.

- To nie potrwa długo, więc jakoś chyba wytrzymam - odparła, zabierając się do roboty.

Ale gdy zjawiała się w przychodni, była zmęczona i nie wyglądała najlepiej. James dostrzegł jej znużenie, nie miał jednak pojęcia, jak mógłby jej pomóc. Kiedy przejeżdżali obok jej domu, zerknęła z poczuciem winy w stronę oświetlonych okien. James zauważył jej spojrzenie.

- Dadzą sobie radę - zapewnił ją serdecznym tonem. - Przecież nie są aż tacy starzy.

- Starzy? - powtórzyła ze zdumieniem. - Mama ma dopiero pięćdziesiąt lat; wyszła za mąż bardzo wcześnie.

- No właśnie - stwierdził lakonicznie, po czym taktownie zmienił temat.

Niania była bardzo osłabiona, ale ich rozpoznała.

- Narobiłam tyle kłopotu... - wyszeptała z trudem. - Ja choruję, twoja mama nie potrafi nawet zagotować wody, a ty zapracujesz się na śmierć.

- Ależ skąd, nianiu, doskonale sobie radzimy, niczym się nie przejmuj. Zresztą ty przecież niedługo wrócisz.

Doktor Galbraith, który stał obok łóżka, nie skomentował jej słów, a po chwili odszedł porozmawiać z dyżurnym lekarzem.

- To taki dobry człowiek - wysapała niania między atakami kaszlu. - Powiedz rodzicom, żeby mnie nie odwiedzali; to zbyteczny kłopot. Traktują mnie tu bardzo dobrze i niczego nie potrzebuję. Ty też nie trać czasu na wizyty w szpitalu; i tak masz dość pracy.

- Będę tu przyjeżdżać z doktorem Galbraithem, który zamierza wpadać do ciebie od czasu do czasu - odparła Leonora. Muszę już iść, ale niebawem się zobaczymy. Uważaj na siebie!

Ucałowała staruszkę w czoło i wyszła do samochodu. Po chwili pojawił się James.

- Rozmawiałem z lekarzem. Jej stan jest stabilny, choć niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Ale mam nadzieję, że antybiotyki zrobią swoje i za kilka dni wróci do siebie.

Mówił tak przekonująco, że Leonora nabrała otuchy i gotowa była stawić czoła wszelkim przeciwnościom losu. Kiedy dotarli do jej domu, zaprosiła go do środka, ale tym razem odmówił.

- Mam proszoną kolację w mieście - wyjaśnił. - Zobaczymy się rano. Nie martw się o nianię. Niedługo będzie zdrowa.

Leonora podziękowała mu i weszła do domu. Następnego dnia w przychodni nie było wielu pacjentów, więc wróciła dość wcześnie. Zatelefonowała do szpitala i dowiedziała się, że stan niani ulega stałej poprawie.

Następnego ranka doktor Galbraith powiadomił ją, że rozmawiał po raz kolejny z dyżurnym lekarzem.

- Niania wróci do domu za pięć lub sześć dni - oznajmił z radością. - Czy dasz sobie ze wszystkim radę?

- Oczywiście - odparła, choć wcale nie była tego pewna. - Przecież pani Phelps nam pomaga.

Mówiła tak chłodnym tonem, że zaczął się zastanawiać, co jest przyczyną jej nagłej wrogości. Miał pięć sióstr i stąd znał zmienność kobiecej natury, ale tym razem nie miał pojęcia, o co chodzi. Postanowił więc odwzajemnić jej obojętności potraktować ją z dystansem. Wytrwał w tej decyzji przez kilka dni; był uprzejmy, ale chłodny i wyniosły.

W niedzielę pojechali po nianię. Staruszka była już ubrana i oczekiwała na nich z niecierpliwością.

- Wszyscy byli dla mnie bardzo mili - powiedziała w drodze powrotnej - ale co dom, to dom.

Gdy dotarli na miejsce, doktor zaniósł ją do pokoju.

- Wpadnę jutro lub pojutrze - oznajmił z uśmiechem. - Tymczasem proszę nie ruszać się z łóżka i słuchać poleceń

Leonory! Będzie tu codziennie przychodzić pielęgniarka, która zapewni pani odpowiednią opiekę.

Pożegnał się serdecznie z nianią, poprosił Leonorę, by nie odprowadzała go do drzwi, i wyszedł.

- To byłby wymarzony mężczyzna dla panienki - wyszeptała niania z uśmiechem.

Nie była ślepa i zauważyła, że oboje zachowują wobec siebie wymuszoną obojętność. Ale nie miała wątpliwości, że doktor pokona wszystkie trudności.

Mijały kolejne dni. Leonora nadal dyżurowała w przychodni i choć była bardzo zmęczona, udawała przed otoczeniem dobry humor. Niania czuła się coraz lepiej. Doktor Galbraith odwiedził ją któregoś ranka i oznajmił, że jej stan jest więcej niż zadowalający. Wychodząc, spytał Leonorę, jak sobie ze wszystkim radzi.

- Doskonale - odparła z uśmiechem, ale jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że nie życzy sobie dalszych pytań.

Następnego dnia, na kolacji u pułkownika Howesa, spotkał jej rodziców.

- Dlaczego Leonora nie przyjechała razem z państwem? - spytał uprzejmie.

- No cóż, niania nie może zostać sama, a ona powiedziała, że jest bardzo zmęczona i woli spędzić spokojny wieczór w domu - odparła lady Crosby.

Gdy kolacja dobiegała końca, James podziękował gospodarzowi i oznajmił mu, że musi odwiedzić chorego. Potem pojechał do domu i wezwał Cricketa.

- Potrzebuję jedzenia, Cricket - powiedział. - I to jak najprędzej. Przyniosę z piwnicy butelkę wina, a ty przygotuj coś, co mógłbym zabrać. Czym dysponujesz?

- Mamy kurczaka na zimno, szynkę parmeńską i pasztet mojej roboty. Jeśli poczeka pan pięć minut, to zrobię sałatkę.

W kwadrans później James zatrzymał samochód przed domem Leonory. Wszedł wraz z Todem przez ogród i minawszy ciemny korytarz, otworzył drzwi kuchni. Leonora, która stała tyłem do wejścia, odwróciła się gwałtownie. Miała na sobie stary szlafrok i nie była umalowana ani uczesana, ale jemu wydała się w tym momencie najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

- Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłem - powiedział cicho. - Myślałem, że moglibyśmy zjeść razem kolację.

- Kolację? - Spojrzała na niego ze zdumieniem, a potem uśmiechnęła się pogodnie. - Rodzice pojechali na przyjęcie...

- Wiem, bo przed chwilą stamtąd wyszedłem.

- Więc już jadłeś...

- Nie byłem głodny, ale teraz jestem. - Postawił na stole duży kosz i zaczął wyjmować jego zawartość.

- Pójdę się ubrać... - wyjąkała.

- Nie ma potrzeby. Umyj tylko ręce, a ja pójdę zaniknąć drzwi od ogrodu.

Po powrocie rozpakował do końca koszyk, wyjął z niego butelkę szampana i nalał go do dwóch przywiezionych ze sobą kieliszków. Po wypiciu kilku kropel Leonora poczuła się o wiele lepiej. Wiedziała, że okropnie wygląda, ale jemu najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało. Gawędząc pogodnie z Jamesem, zjadła przywiezione przez niego smakołyki i wypila drugi kieliszek szampana. Czowała się po raz pierwszy od dawna szczęśliwa i wiedziała, że zawdzięcza to jego obecności, ale nadal zachowywała pewien dystans.

James miał ochotę natychmiast jej się oświadczyć, ale nie chciał tego robić w chwili, w której była lekko odurzona szampanem.

- Pójdę teraz na chwilę do niani - oznajmił, gdy wypili kawę - a potem wrócę do domu. Ale musisz mi obiecać, że natychmiast po moim wyjściu położysz się do łóżka.

- Obiecuję - odparła z uśmiechem.

Kiedy zamknęła za nim drzwi, zajrzała do niani i opowiedziała jej o zaaranżowanej przez Jamesa kolacji.

- Mówiłam ci, że to wymarzony mężczyzna dla ciebie - mruknęła starszka. - A teraz idź spać, kochanie, i niech ci się przyśni coś miłego.

Następnego ranka wkroczyła do przychodni tak radosna i rozpromieniona, że James wydał westchnienie ulgi. Jego ukochana zaczyna wreszcie objawiać uczucia.

Po wyjściu ostatniego pacjenta pojawił się w poczekalni.

- To był ulgowy dyżur - zauważył z zadowoleniem. - Jak się czuje niania?

- Doskonale. Wyrywa się już do kuchni. Boję się, że zagłąda do niej podczas mojej nieobecności.

- To nie potrwa długo. W poniedziałek przychodzi nowa recepcjonistka, więc nie będziesz musiała opuszczać domu.

- Czy to znaczy, że mnie zwalniasz? - spytała błędąc.

- Owszem.

- Nie chcesz, żebym tu więcej przychodziła?

- Nie. Byłem bardzo zadowolony z twojej pracy, nie poradziłbym sobie bez ciebie, ale przecież wiesz, że zatrudniłem cię tylko na pewien czas. - Uśmiechnął się, a ona poczuła, że pęka jej serce. - Pojedź ze mną na lunch, to będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- O czym? - spytała i nie czekając na jego odpowiedź, ciągnęła: - Nie mogę, muszę jechać do domu. Poza tym nie mam ochoty siedzieć przy twoim stole i słuchać twoich wyjaśnień.

- W takim razie musisz wysłuchać mnie teraz... - W tym momencie przerwał mu dzwonek telefonu, więc podniósł słuchawkę i przystawił ją do ucha. - Gdzie? Farma państwa Lacock? Przyjadę jak najszybciej. Wezwijcie pogotowie i straż pożarną.

Odłożył słuchawkę i zaczął pospiesznie pakować torbę.

- Gdzie jest farma Lacocków? - spytał nerwowo.

- Niedaleko Norrington. Jakies sześć kilometrów od Pont Magna. Trzeba skręcić z głównej szosy w polną drogę. Co się stało?

- Zawalił się dach stodoły, w której była gromada dzieci. Wyciągnęli już trójkę rannych. Nie wiadomo, ile zostało w środku. Jedź ze mną, musisz pokazać mi drogę.

Pędził tak szybko, że po dziesięciu minutach ujrzeli duże gospodarstwo i stodołę, która wyglądała jak kupa gruzów. James zatrzymał samochód i ruszył w jej kierunku. Jakaś kobieta wybiegła na jego spotkanie.

- Panie doktorze, Tracey ma chyba złamaną rękę, a Tim i Jilly leżą tam, na trawie. Nie ma kto się nimi zająć.

- Zobacz, co będziesz w stanie zrobić - polecił Leonorze i ruszył w kierunku grupki mężczyzn przeszukujących zawalony budynek.

- Niech pani zanieś Tracey do domu - rzekła Leonora, nerwowo usiłując sobie przypomnieć wszystko, czego nauczyła się na kursie pierwszej pomocy. - Ja pójdę po Tima i Jilly.

Obejrawszy dzieci, z ulgą stwierdziła, że są tylko lekko poobijane i wystraszone. Wprowadziła je do domu i posadziła na kanapie, a potem zajęła się Tracey. Dziewczynka szlochała spazmatycznie, a jedna z jej rąk zwisała bezwładnie i była mocno spuchnięta. Leonora znalazła jakąś serwetkę i zrobiła z niej zaimprovizowany temblak. Potem poprosiła panią Lacock, by podała całej trójce gorącą herbatę, a sama wyszła na podwórko.

James wyciągał właśnie spod gruzów kolejne dziecko. Pochylił się nad nim, zbadał je pobieżnie, a potem wziął je na ręce i wręczył Leonorze.

- Zanieś ją do domu, połóż na jakiejś płaskiej powierzchni i przykryj. Ma złamaną nogę i chyba wstrząs mózgu. Przyjdę, gdy tylko będę mógł.

Leonora ułożyła nieprzytomną dziewczynkę na dywanie i przykryła ją pledem. Potem powierzyła ją opiece pani Lacock i pobiegła z powrotem w kierunku stodoły. Mężczyźni wyciągali właśnie spod sterty belek i dachówek jakiegoś chłopca. Doktor zaniósł go do domu i położył delikatnie obok Tracey.

- Zostań przy nim - polecił Leonorze. - Jest tam jeszcze jedno dziecko.

Robiła, co mogła, dziękując w duchu losowi, że dzieci są nieprzytomne. Okryła je, wytarła im twarze i oczyściła rany. Po chwili rozległy się syreny karetek pogotowia i wozu straży pożarnej, a ona odetchnęła z ulgą, wiedząc, że dzieci wymagają bardziej fachowej opieki.

Gdy strażacy zabrali się do pracy, James wszedł do domu i zaczął badać rannych. Leonora obserwowała go z uwagą. Wiedziała, że ich związek nie ma przyszłości, gdyż James wcale się nią nie interesuje, ale teraz odczuwała tylko miłość.

Po chwili dwójka dzieci znalazła się w karetce, a strażacy wyciągnęli spod gruzów następnego chłopca. Jego stan był jeszcze cięższy. James uznał, że trzeba jak najszybciej przewieźć go do szpitala. Następnie opatrzył trójkę mniej poszkodowanych dzieci pani Lacock i kazał je umieścić w trzeciej karetce.

Tymczasem nadjechali zawiadomieni o wypadku policjanci, więc James wyszedł przed dom, by z nimi porozmawiać. Po chwili wrócił do pokoju, odwinął rękawy koszuli i włożył marynarkę.

- Jak się czujesz? - spytał łagodnym, niemal czułym tonem. Leonora, poplamiona ziemią, pyłem i krwią, wyglądała jak strach na wróble, ale jemu wydała się w tej chwili

najpiękniejszą kobietą na świecie. - Zaraz pojedziemy do mnie, umyjemy się i spróbujemy coś zjeść.

Gdy tylko znaleźli się w samochodzie, wyjął telefon i zaczął wydawać Cricketowi niezbędne polecenia.

- Nie - zaprotestowała Leonora. - Chcę jechać do siebie. Nigdy więcej nie przekroczę progu przychodni ani twojego domu!

- Nie skończyliśmy naszej rozmowy - odparł James - ale nie kontynuujmy jej teraz, bo ta wyboista droga pochłania całą moją uwagę.

- Powiedziałam ci, że chcę jechać do domu! - oznajmiła ponownie, gdy dotarli do miasteczka.

- Tu jest twój dom, a w każdym razie niedługo nim będzie - odparł, skręcając w bramę swej posiadłości.

- Przecież mnie zwolniłeś... - wyjąkała drżącym głosem.

- Oczywiście, że cię zwolniłem, ty niemądra gąsko - rzekł z uśmiechem, wysiadając i otwierając jej drzwi samochodu. Cricket, który stał już w progu, był wyraźnie zaszokowany ich wyglądem. - Zaprowadź pannę Crosby do pokoju gościnnego - polecił mu James - a ja postaram się znaleźć dla niej jakiś szlafrok. Potem pošlemy kogoś do jej domu po ubranie.

- Proszę zrobić sobie ciepłą kąpiel, panienko - powiedział Cricket, prowadząc ją na górę. - Przygotuję szlafrok w sypialni i wyślę kogoś do pani rodziców. Kiedy pani będzie gotowa, podam pyszny lunch, który przywróci pani siły.

Wykąpała się, uczesała włosy i włożyła szlafrok, który był tak duży, że musiała zawinąć jego rękawy. Kiedy zeszła na dół, James siedział już w salonie. Miał na sobie ciemne ubranie i krawat.

- Zjemy lunch, a potem odbędziemy naszą rozmowę - oznajmił, opanowując pokusę wzięcia jej w ramiona. Wiedział, że nadal jest urażona, więc postanowił z tym poczekać.

Zjedli lunch, prowadząc lekką rozmowę. Leonora stwierdziła ze zdumieniem, że jest bardzo głodna, więc pochłonęła wszystko, co jej podano, łącznie z kremem. Mimo woli zaczęła się zastanawiać, jaka będzie ta nowa recepcjonistka, o której James wspomniał. Z pewnością młoda, ładna i...

- Widzę, że mnie nie słuchasz - odezwał się James. - Przejdźmy do salonu, bo chcę powiedzieć ci coś ważnego.

- Muszę już jechać do domu - zaprotestowała nieśmiało, kierując się głosem rozsądku.

- Czy nie pamiętasz, co przed chwilą powiedziałem?

- Oczywiście, że pamiętam, ale nie wiem, co miałeś na myśli.

- Więc ci powiem - odparł, biorąc ją w ramiona. - I będę ci to często powtarzał aż do końca życia. Kocham cię. Zakochałem się w tobie chyba już podczas naszego pierwszego spotkania, choć nie wyglądałaś wtedy najlepiej. Kocham cię i chcę, żebyś została moją żoną.

- Och, James! - krzyknęła, podnosząc na niego wzrok. - Ja też marzyłam o tym, żeby za ciebie wyjść, ale myślałam, że mnie nie kochasz, ani nawet nie lubisz, więc próbowałam o tobie zapomnieć, ale nie byłam w stanie...

- A więc pobierzmy się, i to jak najprędzej - zaproponował, całując ją delikatnie w usta.

- Dobrze, kochany... Ale co będzie z tatą, mamą i nianią? Kto się nimi zajmie? Poza tym mama będzie chciała urządzać wystawne wesele, a nas przecież na to nie stać! O Boże...

- Kochanie, czy możesz zostawić to mnie? - spytał, przytulając ją do siebie.

A ona, słysząc jego pewny siebie ton, zapomniała o wszystkich przeszkodach i niepokojach.

- Oczywiście, mój kochany - odparła, a potem pocałowała go w usta.